

# LENA

**(3.VI – 27. VIII. 2003 r.)**

## **Relacja z wyprawy ks. Dariusza Sańko**

adres strony www o wyprawie: <http://www.anisko.net/lena2003/>

adres email do ks. Darka Sańko: [dareksanko@hotmail.com](mailto:dareksanko@hotmail.com)

**3 / 4 VI 2003 r.**

Znowu kolejna wyprawa. Tym razem już trzecie podejście do spływu kajakowego, jednej z najdłuższych rzek świata syberyjskiej rzeki Leny (ok. 4400 km). Mam nadzieję, że tym razem udane, bo jak mówi przysłowie: „Do trzech razy sztuka”.

Pierwsze moje podejście było w roku 2001 i zakończyło się fiaskiem z wielu powodów, jak np. katastrofalna powódź na Lenie, wewnętrzne kłopoty niektórych członków wyprawy itp. Wyruszyliśmy więc kajakami celem opłynięcia Półwyspu Krymskiego. Niestety po paru dniach zostaliśmy aresztowani pod zarzutem nielegalnego przebywania na wodach terytorialnych Ukrainy itp. zarzutach. Wygnani z granic ukraińskich pojechaliśmy nad jezioro Bajkał, by po raz drugi przepłynąć kajakami tą „perłę Syberii”. Udało się nam wtedy w ciągu 25 dni przepłynąć całe jego wschodnie wybrzeże - z północy na południe.

Drugie podejście było rok temu, ale e-mail otrzymany dzień przed wyruszeniem na Leną zmienił moje plany wyprawowe. Zrobiłem wtedy krótką wyprawę kajakową na Morzu Bałtyckim dookoła archipelagu Alandów, a następnie, już nie w kajaku, obrałem kierunek na Florydę.

Mam więc nadzieję, że tym razem wreszcie uda mi się przepłynąć rzekę Lenę.

Pomysł tej wyprawy narodził się jeszcze w roku 1999 na lotnisku w Bracku, podczas pierwszej mojej ekspedycji na jezioro Bajkał. Poznałem wtedy pewną starszą Rosjankę, która pomogła nam znaleźć tani transport z lotniska na stację kolejową. Rosjanka ta radziła nam, abyśmy zrezygnowali z wyprawy na Bajkał, a udali się na rzekę Lenę. Mówiła nam, że w jej odczuciu rzeka ta jest bardziej piękniejsza od Bajkału. Nie skusiłem się ani ja, ani moi kompani na jej propozycję, ale zaszczerpała w moim sercu „ziarno”, pomysł na następną wyprawę. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że na jej realizację będę musiał czekać aż 4 lata. Nie wiedziałem też, że z moich bliskich przyjaciół, którzy brali udział w pierwszej mojej wyprawie na Bajkał tylko mi dane będzie zrealizować te marzenia - spływu Leną.

Szymon wierny i niezastąpiony kompan prawie wszystkich moich kajakowych ekspedycji 31 V 2003 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Dnia 1 VI odprawił w Suwałkach pierwszą swą Mszę Św. – „prymicyjną”. W związku z tym nie mógł wyruszyć na tak długą wyprawę. Cieszyłem się z tego, że został kapłanem, ale było mi też bardzo smutno, że nie może wyruszyć na tę eskapadę.

Czarek dobry człowiek i najlepszy informatyk, jakiego znam, który brał udział w dwóch moich wyprawach: kajakowej wzdłuż zachodniego wybrzeża Bajkału i w zimowej w

góry Khibiny miał przed sobą pod koniec czerwca egzamin magisterski. Powiedział mi, że być może spróbuje dołączyć się do wyprawy, gdzieś w Jakucku. Zobaczymy co przyszłość przyniesie.

Oprócz mnie w spływie biorą jeszcze udział dwie osoby. Jedną z nich jest mój rodzony brat Tomek (25 l), który nie był jeszcze ze mną na żadnej poważniejszej eskapadzie, a na tą zdecydował się dopiero dzień przed wyruszeniem. Boję się czy poradzi sobie w trudach wyprawy zarówno jeśli chodzi o fizyczny, czy też psychiczny jej aspekt. Drugą osobą jest Piotrek Mozyro (18 l), uczestnik paru moich kajakowych wypraw: dookoła Nordcape i Lofoten (2000 r.), Krymu i wschodniego wybrzeża Bajkału (2001 r.) oraz dookoła Alandów (2002 r.). Mimo jego uczestnictwa we wcześniejszych ekspedycjach również co do jego osoby mam pewne obawy dotyczące jego predyspozycji fizycznych i psychicznych do tej wyprawy.

Prawie od samego początku byłem niezdecydowany, czy brać ich na wyprawę. Znałem ich charaktery i siły fizyczne. Wiedziałem mniej więcej, co może nas czekać. Miałem świadomość, że cały ciężar odpowiedzialności i troski o ich potrzeby począwszy od materialnych aż po duchowe będzie leżał na moich barkach. Wyjeżdżałem więc z domu rodzinnego z Sokółki, z sercem bardzo strapionym i pełnym obaw.

W pierwszej fazie nasza podróż przebiegała następująco. Najpierw pociągiem z Sokółki do Kuźnicy Białostockiej o godz. 10.39. Następnie przesiadka na pociąg z Kuźnicy do Grodna o godz. 11.30. W Grodnie kolejna przesiadka na pociąg do Moskwy o godz. 16.40 białoruskiego czasu. W Grodnie kupiłem bilety aż do samego Irkucka. Martwiłem się trochę czy zdążymy w Moskwie z przesiadką na inny dworzec kolejowy do pociągu do Irkucka, na którą mieliśmy tylko ok. 3 godzin.

Nasz pociąg z Grodna do Moskwy planowo miał przyjechać o godz. 11.00 na Białoruski Dworzec, a już o godz. 14.40 mieliśmy mieć pociąg do Irkucka z Jarosławskiego Dworca. Problem polegał na tym, że w tym krótkim czasie mieliśmy zamiar kupić w Moskwie jeden składany kajak, bowiem wzięliśmy z sobą na wyprawę tylko jeden. Co prawda adres firmy, która sprzedawała składane kajaki ściągnąłem przed wyprawą z internetu, a w Grodnie zaopatrzyłem się w dokładną mapę Moskwy lecz mimo to obawiałem się, czy w tak krótkim czasie zdążymy z kupnem kajaka i dojazdem do Jarosławskiego Dworca.

W pociągu z Grodna do Moskwy poznaliśmy interesującego Gruzina – Gregorego. Zajmował się on handlem sprzętem elektronicznym: komórki, radia do samochodów, piloty telewizyjne itp. Chwalił się swoim paszportem, w którym widniały pieczętki z Chin, Turcji, Indii, Hongkongu itp. Gregory dużo nam opowiadał o swoich wrażeniach z pobytów handlowych w różnych krajach świata. Mówił, że na stałe mieszka w Moskwie, ale w przyszłości chce wrócić do Gruzji. W Tibilisi chce rozpocząć jakiś biznes. Gregory był gościnnie, postawił nam parę piw. Opowiedziałem Gregorowi o naszych planach spływu Leną i zmartwieniach związanych z krótkim pobytem w Moskwie. Poradził mi, żebym od razu po wyjściu w Moskwie z Białoruskiego Dworca wziął taryfę. Zaoferował też swoją pomoc w znalezieniu tańszej taksówki.

Pociąg do Moskwy przyjechał planowo. Gregory znalazł nam taksówkę na poruszanie się po Moskwie za 15 \$. Załadowaliśmy nasz duży bagaż do samochodu marki Lada i ruszyliśmy na poszukiwanie „magazynu”- sklepu ze składanymi kajakami. Nie było to takie łatwe, bowiem sklep ten był ulokowany w bardzo nietypowym miejscu. Otóż znajdował się na czwartym piętrze, jakiegoś starego i dużego budynku, który wyglądem bardziej przypominał jakąś starą fabrykę niż pawilon sklepowy. W sklepie kupiliśmy składany kajak dwójkę „Newę 2” i nieprzemakalny worek 100 l. Do Jarosławskiego Dworca dotarliśmy ok. godzinę przed odjazdem pociągu. W tym czasie rozmieniłem też na rynku 600 \$ kupiłem aluminiowy garnek, którego nam brakowało do sprzętu niezbędnego na wyprawę. Podczas załadunku bagażu do pociągu okazało się, że jest on zbyt duży. Trzeba było więc dopłacić ok. 210 rubli (przelicznik to ok. 30 rubli – 1 \$ USA) za nadwagę.

## 5 VI 2003 r.

Jedziemy pociągiem do Irkucka. Mamy kupiony „kupnyj” przedział. Śpimy, jemy, pijemy, modlimy się, gadamy, czytamy książki.

Na wyprawę wziąłem dwie książki.

Jedną Wacława Sieraszewskiego pt. „Dwanaście lat w kraju Jakutów”, która opowiada dużo o terenach i ludziach Jakucji. Sam autor był nietuzinkową osobą. Został zesłany na Syberię do kraju Jakutów i spędził tam aż 12 lat. Dwa razy próbował uciekać. Niestety próby jego kończyły się niepowodzeniem. Dzięki pracy twórczej jaką włożył w napisanie tej książki został zwolniony z niewoli syberyjskiej. Książka Wacława Sieraszewskiego jest pierwszą naukową, etnograficzną książką o kulturze Jakutów. Dzięki jemu kultura Jakutów została ukazana światu i utrwalona dla potomnych.

Druga, to „Przekroczyć próg nadziei” papieża Jana Pawła II. Książkę tę wziąłem jako czytanie duchowne, bowiem i ja muszę przekroczyć próg mojej nadziei w tej wyprawie.

Odczuwam wyraźnie jak od początku tej wyprawy Opatrzność Boża nad nami czuwa. Wierzę, że będzie tak do końca. Lękam się trochę tego, co przede mną. Mam bowiem na swoich barkach dwie osoby. Boję się o ich bezpieczeństwo w tajdze, gdzie pełno niedźwiedzi, jak i na wodzie, bo nie wiadomo, jakie przygody mogą na nas tam czekać. Trzeba jednak starać się każdego dnia przekraczać swoją ograniczoną nadzieję, by powierzać wszystko w Ręce Boga. Ufam, że i tym razem wszystko będzie OK.

## 6 VI 2003 r.

Nadal jesteśmy w pociągu do Irkucka. Tomek i Piotrek wciąż śpią, choć jest już prawie południe. Za oknem pociągu od dłuższego czasu jest już Syberia za Uralem. Mijamy miasta, wioski, które są prawie wszystkie podobne do siebie. Domy zbudowane są w większości z drzewa, którego tutaj nie brakuje. Czas zatrzymał się tu jakby w miejscu. Tak samo wyglądała architektura domów drewnianych 100 lat temu i pewnie jeszcze wcześniej. Za to budynki murowane z czasów komunizmu najczęściej z odpadającym tynkiem w większości potrzebują remontu. Mijamy także od czasu do czasu nieliczne domy, budowane z cegły, które wyglądem przypominają „małe pałacyki”. Zapewne należą one do „nowobogackich”, którzy szybko przystosowali się do gospodarki kapitalistycznej. Jednak w przerażającej większości za oknami pociągu króluje natura. Tajga ze swoimi milionami drzew pochłania niemal cały krajobraz.

Na każdym dłuższym postoju pociągu na peron przychodzi wielu miejscowych ludzi, którzy próbują sprzedać jadącym podróżnym coś do jedzenia, picia itp. Pewnie dla wielu z nich kolej transsyberyjska jest jedynym źródłem utrzymania.

Dzisiaj jest 6 VI 2003 r.. Dzień ten w moim życiu jest bardzo ważną rocznicą. Otóż pięć lat temu otrzymałem święcenia kapłańskie i dzień potem odprawiłem pierwszą moją Mszę Św. zwaną „prymicyjną”. Wiele przez te pięć lat w moim życiu się wydarzyło. Dziękuję Bogu za wszelkie dobro, które w tym czasie dane mi było doświadczyć. A było tego bardzo dużo. Przepraszam za wszelkie zło z mojej strony. Powołanie kapłańskie to „dar i tajemnica”, jak mówi papież Jan Paweł II. Ten dar przerasta człowieka. Wiem, że muszę każdego dnia starać się, aby z Łaską Bożą być coraz godniejszym tego daru, bo jest on nieskończony, niezmierny i niezgłębiony. Jestem świadomy, że od mojej otwartości na ten „ocean bez dna” zależy obfitość tego daru we mnie. Powołanie kapłańskie jest też tajemnicą, która jest

wyzwaniem do odkrywania i poszukiwania coraz nowych horyzontów Boga. Jest to tajemnica, której nie wyrażą ludzkie pojęcia, słowa. Tajemnica, która jest ciągłym „zadaniem” do coraz nowszych odkryć miłości i miłosierdzia Boga. Dzisiaj w piątą rocznicę mojego kapłaństwa powierzam szczególnie moją dalszą drogę kapłańską za pośrednictwem NMP Matki Bożej Bogu. Ufam, że Ona jest najlepszą Opiekunką mojego powołania kapłańskiego. Św. Bernard mówił o Niej, że „nigdy nie opuściła tego, kto się do niej ucieka...”. Czyż mając taką Opiekunkę można lękać się czegokolwiek?

## **7 VI 2003 r.**

Wciąż jedziemy pociągiem. Jutro ok. 6.00 rano powinniśmy być już w Irkucku. Tomek i Piotrek śpią. Zauważyłem, że lubią oni kłaść się spać bardzo późno w nocy i wstawać następnego dnia bardzo późno. Na Lenie ten ich zwyczaj szybko jednak będzie musiał ulec zmianie. Szczerze mówiąc dla mnie dużym wyzwaniem będzie nie tylko samo przepłynięcie Leny, ale przeprowadzenie przez nią „młodych traperów”.

Za oknem pociągu krajobrazy wciąż podobne: lasy i lasy, czasami miasto lub wioska i tak wkoło. Cała przyroda się bardzo zieleni, na mijanych czasami polankach leśnych kwitną przeróżne kwiaty.

Wieczorem zaciekawilo mnie dziwne zjawisko. Otóż w odległości ok. 3 godzin jazdy pociągiem za Krasnojarskiem cały horyzont pokrył się jakby mgłą. Mgła ta okazała się dymem, który był efektem palenia się olbrzymich przestrzeni tajgi. Otwierając okno wagonu czułem dym i pieczenie oczu. Jedziemy w tym dymie już ponad cztery godziny. Jestem ciekaw kiedy się skończy, czy będzie na Lenie?

## **8 VI 2003 r.**

Rano pociąg nasz planowo o godz. 6.00 czasu moskiewskiego przyjechał do Irkucka. Nie wiedziałem jednak dokładnie, która jest godzina czasu lokalnego. Na stacji kolejowej próbowałem się dowiedzieć, jak dostać się do dworca autobusowego, aby móc dalej dojechać do wsi Kacziuga. Jest ona oddalona ok. 250 km na północ od Irkucka. Zaczepił mnie jakiś taksówkarz, który zaproponował za 100 rubli dowiezienie nas na dworzec autobusowy. Powiedział, że autobus do Kacziuga wyjeżdża prawdopodobnie lada moment i że jeździ on tylko raz na dzień. Zgodziłem się na podwiezienie na dworzec autobusowy. Taksówkarz również w czasie drogi zaproponował mi, że za odpowiednią kwotę może nas podwieźć aż do samej wioski Kacziuga. Kwota jednak była trochę duża, więc nie byłem zbyt zainteresowany jego ofertą. W czasie rozmowy z taksówkarzem dowiedziałem się również, że tajga pali się już od wielu dni i dymy spowodowane przez te pożary zalegają już od dłuższego czasu miasto Irkuck. Odradzał mi również wyruszenie na splyw Leną. Mówił, że jest to bardzo niebezpieczne.

Na dworcu autobusowym „niespodzianka”. Okazuje się, że na autobus do Kacziuga, który wyjeżdża za 15 minut brak jest biletów. W pierwszym momencie nie wiedziałem co robić. Jednak po krótkiej chwili refleksji pobiegłem do stanowiska, gdzie stał autobus do Kacziuga i szybko zaproponowałem kierowcy autobusu łapówkę. Powiedziałem mu jednak, że mamy dużo bagażu. Kierowca był trochę niezdecydowany. Odpowiedział mi, że zanim zdecyduje się czy nas wziąć w pierw musi obejrzeć nasz bagaż. Szybko więc pobiegłem do

chłopaków, którzy siedzieli jeszcze w samochodzie taksówkarza i poprosiłem go, aby podjechał do autobusu. Kierowca autobusu po obejrzeniu ilości bagażu zgodził się na podwiezienie nas do Kacziuga. Chłopaki szybko zaczęli wrzucać bagaże do autobusu. Było to trochę trudne, bowiem autobus był całkowicie zapełniony ludźmi i bagażami. W trakcie ładowania bagażu jakaś kontrolerka zaczęła pytać nas, czy mamy bilet? „Da”- przecież z kierowcą jest już wszystko dogadane. Podróż autobusem trwała ok. 5 godz. Mijaliśmy różne wioski. Najgorsze, że słońce nadal było zasłonięte przez pożary tajgi. Ludzie w autobusie mówili, że pożary te trwają już od ponad miesiąca i nie wiadomo, kiedy się skończą. Są one rzeczą normalną w tych okolicach i występują każdego roku. Parę razy z okien autobusu widzieliśmy dokładnie lokalizację źródeł pożarów.

Po przyjeździe do Kacziuga pierwsze kroki skierowaliśmy na Lenę, która była oddalona od przystanku autobusowego ok. 50 m. Zaczęliśmy składać kajaki. Złożenie pierwszego starego kajaka, który wzięliśmy z Polski było łatwe. Gorszym okazał się zakupiony przez nas kajak w Moskwie. Pewne rurki z jego szkieletu były za długie. W związku z tym nie wiedzieliśmy, jak go złożyć. W miejscu nad brzegiem Leny, w którym składaliśmy kajaki zgromadziło się wokół nas dużo miejscowych dzieci i młodzieży. Próby złożenia rosyjskiego kajaka trwały bez skutku do późnego wieczora. W końcu na pomoc ruszyła nam miejscowa młodzież, która w większości była już w tych godzinach pod wpływem alkoholu. Bałem się trochę, żeby pomoc ta nie skończyła się połamaniem jakichś części od kajaka. Zapraszali nas na jakąś „balangę”. Chcąc zaznać spokoju po długiej „podróży” i uciec od pijanej młodzieży ruszyliśmy na nie w pełni przygotowanych do wyprawy kajakach z biegiem Leny. Płynęliśmy ok. 1,5 godz. W ciemnościach rozbiliśmy namiot na jakiejś polance.

## 9 VI 2003 r.

Wstaliśmy wcześniej rano i od razu wzięliśmy się do dalszego dokładnego składania kajaków. Kajak ruski złożyliśmy tylko dzięki obcięciu paru rurek ze szkieletu. Po spakowaniu kajaków wyruszyliśmy na rzekę. Zdecydowałem, że ja będę płynął w nowo zakupionym kajaku, a Piotrek i Tomek w starym. Decyzja ta była podjęta kształtami kajaków. Kajak stary był trzyosobowy i przez co trochę dłuższy. Odległość między dwoma siedzącymi w nim osobami dawała możliwość niezależnego od siebie wiosłowania, bez problemu przypadkowego zaczepiania się wiosłami. Nowy kajak nie miał tej właściwości, był on dwuosobowy. Odległość przedniego siedzenia od drugiego była bardzo mała. Ponadto nowy kajak był trochę szerszy, przez co wymagał większego wysiłku w wiosłowaniu. Bałem się, że Tomek i Piotrek mogą nie dotrzymać memu tempu. Prawie cały nasz bagaż załadowałem do nowego kajaka. Piotrek i Tomek jako bagaż mieli wyłącznie swoje ciuchy.

Lena nie jest w tych okolicach dużą rzeką, nie jest szeroka. Jest za to bardzo płytka. Bardzo często trzeba było wysiadać z kajaków, aby przepychać je przez płytką wodę. Widoki przepiękne, zwłaszcza, kiedy mijaliśmy pionowe, wysokie klify przybrzeżnych wzgórz. Szkoda jednak, że były one przesłonięte przez mgiełkę będącą dymem powstałym z palącej się tajgi. Szybko też zaczęła nas kąsać syberyjska muszka. Przykryliśmy głowy koszulkami i płynęliśmy do przodu.

Pod wieczór w pewnym momencie dostrzegłem na lewym brzegu rzeki parę stojących kajaków. Podpłynąłem z ciekawości do ludzi, którzy stali na brzegu. Jeden z nich zapytał mnie „Kuda płyniesz?” i ręką dał sygnał, aby podpływać do brzegu. Ktoś inny zapytał: czy mówimy po rosyjsku, angielsku, niemiecku, francusku? Odpowiedziałem, że „Da”. W końcu

następne pytanie „Atkuda wy”.”Z Polshi”- odpowiedziałem. „A Polacy, trzeba było tak od razu”. Wyruszyliśmy na brzeg i zaczęliśmy się witać. Wszyscy mówili swoje imiona, tylko jeden człowiek oprócz imienia powiedział swoje nazwisko – Roman Koperski. On to opiekował się tą grupą turystów. Wiedziałem z masmediów i z jego książki, że ponoć w 1998 r. przepłynął rzeką Lenę pontonem poruszany siłą własnych rąk i prawdopodobnie bez pieniędzy. Trudno mi było kiedyś uwierzyć w możliwość pokonania 4400 km w takim stylu, ale jego książka, nagłośnienie w masmediach i nagroda podróżnicza Kolosów w 1999 r. wydawały się świadczyć o wiarygodności tej podróży. Roman Koperski jako specjalista od Leny po swojej wyprawie zaczął organizować krótkie spływy kajakowe po tej rzece dla ludzi „z grubszym portfelem”. Grupa paru ludzi, z którą się przywitaliśmy była właśnie jedną z grup pilotowanych przez Romana Koperskiego.

Ucieszyłem się więc bardzo z tego spotkania, bowiem mogłem zdobyć jeszcze więcej informacji o Lenie. A do tego od człowieka, który „przepłynął” tą rzekę pontonem.

Ludzie z tej grupy, jak i sam Roman Koperski byli bardzo gościnni. Zaprośili nas do ogniska i poczęstowali tym co mieli. Byli bardzo zatroskani faktem, że nie mamy „moskiteri”, bowiem każdy z nich miał je nałożone. Dzięki szybkiej interwencji ich i Romana u Władimira – Rosjanina, który też przebywał w ich grupie, udało się kupić „moskiterie” w sklepie w pobliskiej wsi. Byliśmy im bardzo wdzięczni za ten fakt.

Roman Koperski opowiadał nam o Lenie. Bardzo istotne było dla nas dowiedzenie się o prądzie rzeki, o trudnościach, które będą na nas czekać w czasie tej wyprawy.

Cieszyliśmy się więc jego informacją, że od Kireńska po wpadnięciu Kirengi do Leny będziemy płynąć 12 km/h bez wiosłowania i że dalej będzie jeszcze szybciej. Roman mówił, że nawet czasami będziemy mieć prąd ok. 30 km/h. Fajnie było usłyszeć, że prąd będzie tak szybki, że prawie nie trzeba będzie wiosłować. Najgorszym odcinkiem, w który najwięcej się zmęczymy wiosłując, ma być odcinek Leny do Kireńska. Potem to nurt sam będzie nas niósł?

Odnosnie temperatur w części za kołem podbiegunowym Roman mówił, że będą takie same jak tu? Trochę nie chciałem dać temu wiary, bowiem wielokrotnie już robiłem wyprawy w obszary podbiegunowe.

Na pytanie nasze o komunikację mówił, że do Jakucka pływają statki a od Jakucka do Tiksi to kompletna dzicz. Dalej nic nie pływa?

Roman mówił nam, że miasto Jakuck jest położone trochę od brzegów Leny i żeby się do niego dostać trzeba w pewnym momencie skrócić w lewo i płynąć w zgłębieniu przeciwnie do nurtu rzeki. Na pytanie jednej osoby z grupy, skąd o tym on wiedział? Roman odpowiedział, że to intuicja?

Odnosnie dopłynięcia do Tiksi Roman powiedział nam, że musimy płynąć przez Morze Laptiewa i że innej drogi nie ma. Mówił też że w Tiksi będziemy prawdopodobnie aresztowani i zamknięci na trzy dni. Radził nam mówić żołnierzom, że nie mamy pieniędzy. Będziemy dzięki temu mieli darmowy powrót wojskowym samolotem?

Na pytanie nasze o niedźwiedzie Roman odpowiedział, żeby się ich nie bać. Radził jednak na miejsce postoju wybierać wyspy.

Roman mówił, że ludzie na rzece Lenie są bardzo dobrzy i że w wioskach nie ma potrzeby obawiać się o kradzież. Śmiało można zostawiać sprzęt na brzegu z przekonaniem, że nikt nie ukradnie?

Roman dał nam na dalszą drogę pięć numerów telefonicznych, które mogą się nam przydać w wyprawie, do: 1. Walentyny Szymańskiej – przewodniczącej Poloni w Jakucku, 2. Konsulatu Polskiego w Moskwie, 3. Wasiljewa Rusłana Wasilewicza – ministra turystyki w Jakucku, 4. Albiny Michajłownej – szefowej miasta Jakuck, 5. Aleksandra i Haliny Starcew – mieszkańców Tiksi.

Wieczór ten spędziliśmy przy ognisku. Namiot nasz rozbiliśmy koło namiotów grupy turystycznej Romana Koperskiego.

Dnia tego wiosłowaliśmy ok. 7 godzin.

## 10 VI 2003 r.

Wstaliśmy ok. godziny 10.00. Zjedliśmy wspólne śniadanie i po pożegnaniu się z „turystami” Romana ruszyliśmy na wodę. Trochę zdziwił mnie fakt, że Roman Koperski nie życzył nam powodzenia. Jako pierwszy z grupy żegnającej nas schował się do swego namiotu.

Widoczność nadal była słaba od dymu tajgi, tak więc nie mieliśmy ochoty na robienie zdjęć. Do tego muszka syberyjska zaatakowała nas na dobre, więc nawet nie mieliśmy ochoty na jakikolwiek odpoczynek. Mimo nałożonych na głowę moskiterii gryzła nas porządnie. Nie wiem jakim sposobem potrafiła przedostać się przez bardzo gęstą siatkę moskiterii i gryźć twarz. Widoczność nasza ograniczała się do kratki moskiterii, dymu i wielkiej ilości brzęczącej muszki. Ważne było zakrycie każdej części ciała, bowiem w najmniejsze szczeliny próbowały się wdrzeć spragnione krwi owady.

Wiosłowaliśmy bez żadnego odpoczynku dobrym tempem przez 8 godzin. Potem stwierdziłem, że jesteśmy już zbyt wyczerpani, aby wiosłować dalej. Walcząc z chmurami muszek rozbiliśmy namiot. W środku wytlukiliśmy te wstrętne krwiopijne owady i był wreszcie czas na odpoczynek. Piotrek i Tomek liczyli ilość pogryzień na swoim ciele. Tomek na jednej nodze miał ich ok. 50, Piotrek podobnie. Chłopaki jednak mówili, że moja twarz w tym względzie jest najlepsza. Nie wiem, bo jej nie widzę, tylko czuję swędzenie i opuchliznę. Za ściankami namiotu brzęczały wciąż czarne chmury małej muszki syberyjskiej rządnej naszej krwi. Nie było żadnych innych owadów: komarów, gzów czy czegoś podobnego.

Postanowiłem, że będziemy starać się wypływać wczesnym rankiem, bowiem wtedy nie ma jeszcze muszki. Piotrek i Tomek jak na razie radzą sobie bardzo dobrze i spisują się na medal.

## 11 VI 2003 r. (54°25'46N, 105°10'47E, 422 npm)<sup>1</sup>

Zbudziłem chłopaków o 6.00 nad ranem. Szybko spakowaliśmy się, zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy na wodę. Temperatura powietrza rano była niska i być może to spowodowało, że nie było jeszcze muszki. Bez chmar tej gryzącej „szarańczy” płynęło się fantastycznie. Przyroda była niesamowita. Dźwięki różnych zwierząt wydobywały się z tajgi. Krajobraz dziewiczy. Jedynym tylko mankamentem był wiszący nad nami smog, który zasłaniał słońce i błękit nieba. Około godziny 12.30 zaatakowała nas syberyjska muszka. Płynęliśmy jednak dalej walcząc z chmurami muszki, która starała się wejść do każdej szczeliny w ubraniu, aby nasycić się naszą krwią. W końcu jednak muszka tak gryzła, a my byliśmy dość zmęczeni od ciągłego wiosłowania, że zdecydowałem, że rozbijamy namiot.

Płynęliśmy ok. 7 godzin. Postanowiłem, że jeszcze wcześniej musimy wstawać, bowiem w rannych godzinach nie ma muszki.

Piotrek i Tomek radzą sobie dobrze. Czasami muszę im coś mocnego powiedzieć, ale starają się być posłuszni. Jutro muszę ich zbudzić bardzo wczesnie rano.

## 12 VI 2003 r.

<sup>1</sup> Wszystkie położenia geograficzne brałem z GPS typu Magellan Maridium Platinum. Brałem je zawsze pod koniec dnia, będąc już w namiocie. Wskazują one miejsca naszych noclegów w danym dniu.

Budzik obudził mnie o godz. 3.00 nad ranem. Było jeszcze całkowicie ciemno. Postanowiłem trochę poleżeć w śpiworze, bowiem w takich ciemnościach ciężko byłoby składać rzeczy. O godz. 3.30 zaczęło powoli świtać. Wstałem więc spakowałem swoje rzeczy. Zbudziłem Tomka i Piotra. Rozpaliłem ognisko i przygotowałem śniadanie-obiad.

Wypłynęliśmy o 5.30. Było trochę chłodno, ale najważniejsze, że nie było jeszcze o tej godzinie syberyjskiej muszki. Krajobraz podobnie, jak w poprzednich dniach przysłonięty przez dymy tajgi. Po ok. 2 godzinach ciągłego wiosłowania przepłynęliśmy wieś Żigałowo. Była bardzo duża. Płynęliśmy przez nią ok. 1 godziny. Po przekroczeniu tej wsi wpłynęliśmy w trochę głębszą tajgę. Zniknęły hałasy i ślady ludzi, a coraz głośniejsze rozbrzmiewały dźwięki tajgi. Do wsi Żigałowo bowiem począwszy od Kacziuga ciągnie się droga samochodowa.

Tomek i Piotrek płyną jak do tej pory na swoim kajaku świetnie. Na kajaku tym pływał wcześniej na wielu wyprawach Szymon. Sprzęt ten jest trochę stary, ale zarazem posiada dobre właściwości nautyczne. Dzięki kształtowi kajaka Tomek i Piotrek mogą wiosłować niezależnie od siebie. Płyną więc bardzo szybko, nie wkładając w wiosłowanie wiele wysiłku. Natomiast ja na nowym kajaku, który jest trochę szeroki i nie posiada w związku z tym wielu właściwości nautycznych płynę trochę powoli. Do tego olbrzymia ilość bagażu włożonego do niego sprawia, że w wiosłowanie muszę wkładać bardzo dużo siły. Tym bardziej, że muszę trzymać tempo przewodnika.

Ok. godziny 10.00 zaatakowały nas syberyjskie muszki. Było ich bardzo dużo. Wdzierały się i gryzły, mimo moskiterii, nasze twarze, ręce i nogi. Syberyjskie muszki są tutaj największą plagą. Miejscowi ludzie mówili nam, że jest ich w tym roku wyjątkowo dużo. Sytuacja ta jest wynikiem pożarów, które panują w tajdze. Dlatego też większość mieszkańców siedzi w domu i unika wychodzenia na podwórek.

W trakcie płynięcia spotkaliśmy paru rybaków. Zapytali nas gdzie płyniemy. Odpowiedziałem, że do Tiksi. Jeden z nich zaklął pod nosem „Kibieni matier” i powiedział nam, że płynięcie w takich warunkach to męka i wariatwo, a nie odpoczynek.

Najgorsze jest to, że nie można w ogóle odpocząć w czasie płynięcia, nie można jeść, czy też nawet załatwić swoich potrzeb fizjologicznych.

Płynęliśmy dziś ok. 12,5 godzin.

W czasie rozbijania namiotu było tych muszek tak dużo, że pomimo moskiterii zjadłem ich parę. Muszka syberyjska jest absolutnym władcą tych terenów. Dziwi mnie, dlaczego nie ma komarów ani gzów. Bez moskiterii nie wiem czy dałoby się w ogóle płynąć. Po tych prawie 13 godzinach wiosłowania Tomek i Piotrek padli z nóg. Ok. godz. 22.30 rozpaliłem ognisko i zrobiłem coś do jedzenia.

## **13 VI 2003 r. (55° 32'49N, 105°32'36E, 331 npm)**

Zbudziłem chłopaków o 5.30. Rozpaliłem ognisko i przygotowałem śniadanie-obiad. Chłopaki złożyli w tym czasie namiot i w drogę.

Pierwsze 4 godziny płynęło się dobrze, bo nie było muszki. Jednak o 11.30 pojawiły się znowu jej chmary. Panorama podobnie, jak w poprzednich dniach zakryta była przez dymy tajgi i brzęczącą wokół nas muszkę, która walczyła o każdą najmniejszą dawkę naszej krwi. Zauważyłem, że Lena od wsi Żigałowo przybrała trochę inny charakter. Otóż stała się w niektórych miejscach szersza i płynięcie na niej jest, jakby przepływaniem z jednego jeziora

na drugie. W jednej ze wsi, którą przepływaliśmy, napotkani przez nas ludzie na brzegu zapraszali nas do siebie w gościnę. Jednak odmówiliśmy, bowiem trochę się śpieszymy, a nie wiemy jeszcze co nas czeka dalej na rzece. Celem naszej wyprawy jest przepłynięcie kajakami całej Leny i w związku z tym nie możemy sobie pozwolić na razie, na jakikolwiek postój. Ludzie Ci zapytali nas więc, czy mamy chleb, wędkę na ryby. Odpowiedziałem im, że „Da”. Podziękowałem serdecznie za ich troskę.

W południe jednak zaczęło się robić bardzo gorąco, muszka atakowała ciągle, a my czuliśmy już zmęczenie od ciągłego wiosłowania. Zdecydowałem więc, że odpoczniemy.

Płynęliśmy dziś ok. 7 godzin.

Namiot rozbiliśmy w jakiejś wyludnionej całkowicie wsi. Jest straszny upał. Pieczemy się w namiocie. Pot płynie z nas strumieniami. Dokoła namiotu, a szczególnie przy wejściu słychać wciąż głośne brzęczenie tysięcy małych muszek próbujących wdrzeć się do namiotu. Dźwięk ten przypomina jakby padanie deszczu.

## 14 VI 2003 r.

Wstałem o 3.00 nad ranem. Było jeszcze ciemno. Rozpaliłem ognisko i zbudziłem Tomka i Piotra. Najważniejsze, że o tej godzinie nie atakowała nas jeszcze muszka. Zrobiłem śniadanie-obiad i o 5.15 byliśmy już na wodzie.

Pierwsze godziny płynęło się bardzo fajnie bez ataków krwiożerczych muszek. O 9.30 zdecydowałem, że zrobimy na brzegu 15 minutową przerwę bowiem nasze zbolełe kości i mięśnie domagały się rozprostowania. Na brzegu jednak bardzo szybko zaatakowała nas muszka. Ciężko było zjeść w spokoju batonika „sinikera” i spokojnie załatwić potrzebę fizjologiczną. Trzeba było cały czas ruszać się. Bardzo szybko podnosić dół moskiterii, aby ugryźć „sinkera” bez większej ilości muszek. Wodę i inne płyny piło się nie zdejmując moskiterii. Muszka zmusza nas od początku wyprawy do wypracowywania takich oryginalnych technik koegzystencji z nią. Zmusza do bardzo szybkiego poruszania się człowieka. Po ok. 5 minutach przebywania na brzegu uciekliśmy do naszych kajaków, aby dalej przebijać się przez dymy tajgi. Oczywiście muszka ruszyła za nami. Płynęliśmy jeszcze przez ok. 4 godzin cały czas gryzieni przez naszą „towarzyszkę”.

W południe upał był tak wielki, a my zmęczeni wiosłowaniem i atakami muszki, że zdecydowałem, że czas odpocząć. Namiot rozbiliśmy na brzegu w tajdze. Był straszny upał. Mimo, że byliśmy w leciutkim cieniu pot lał się z nas strumieniami, kiedy odpoczywaliśmy w namiocie. Szybko jednak zapadliśmy w sen. Po krótkiej drzemce obudziłem się i zacząłem rozmyślać o naszej wyprawie.

Piotrek i Tomek są bardzo podłamani całą dotychczasową sytuacją. Dymy, upały i miliony muszek, które kęsały nasze ciało. Gdyby nie ubrania i moskiteria, to jestem pewny, że muszki te zagryzłyby człowieka na śmierć. Kto chce doświadczyć przedsionków piekła, to niech znajdzie się w płonącej tajdze z milionami muszek, które gotowe są wypić z człowieka wszystkie krople krwi.

Zacząłem się modlić w intencji zmiany pogody. Odmówiłem różaniec i stał się cud. Zaczęło grzmieć w górach i pojawił się wiatr. Wkrótce wiatr zaczął przewiewać zalegające nad nami dymy i pojawił się błękit nieba. Jak cudownym uczuciom, było ujrzenie błękitu nieba i poczucie powiewu wiatru na swoim pogryzionym i spuchniętym ciele.

Z radością wielką popłynęliśmy dalej. Wiał nam w twarz ciepły, przyjemny wiatr. Po paru minutach płynięcia znaleźliśmy dobre miejsce na kąpiel. Chłopaki po raz pierwszy mieli możliwość wymycia się od czasu wyruszenia z Polski. Jaki piękny jest świat bez syberyjskiej muszki!

Jednak pod wieczór wiatr ucichł i znowu pojawiły się chmury muszki rządne naszej krwi. Boże jak chciałbym, aby wreszcie liczba tych owadów wokół nas zmaląła. Wszystkie trudy są niczym wobec niej. Jak fajnie by było, żeby zaczęły padać teraz deszcze, przyszły burze, mrozy, albo silne wiatry.

Piotrek i Tomek są całkowicie zrozpaczeni całą sytuacją. W Ust-Kucie chcą już uciekać do domu, do Polski. Szkoda mi ich, ale, co ja mogę poradzić. Mogę się tylko modlić o zmianę pogody!

Do Ust-Kuta mamy jeszcze ok. 160 km. Płynęliśmy w dniu dzisiejszym ok. 10 godzin.

## **15 VI 2003 r. (56°20'47N, 106°02'22E, 306 npm)**

Dzisiaj jest niedziela. Wstałem o godzinie 4.45 i obudziłem chłopaków. Potem ognisko, śniadanie-obiad, pakowanie się i w drogę.

Do godziny 10.00 płynęło się fantastycznie, bowiem nie było jeszcze muszki. Potem, jak co dzień przywitała nas armia głodnych „koleżanek”. Jednak po raz pierwszy w tej wyprawie, od początku dnia, aż prawie do końca widzieliśmy błękit nieba. Czasami tylko gdzieś na horyzoncie pokazywały się pożary tajgi. Krajobraz w tych obszarach jest doprawdy dziewiczy. Góry pokryte zielonym oceanem tajgi, błękit nieba i kryształowa woda tworzą przepiękną scenerię. Gdyby nie te spragnione naszej krwi tysiące muszek, to całą parą można by było radować się wyprawą. Niestety muszka czyni z niej prawdziwą katorgę. Jesteśmy pokryci szczelnie ubraniem od stóp aż po głowę a i tak wiele muszek wdziera się i gryzie nasze ciała. Nawet tak prosta czynność, jak wyjście podczas postoju z namiotu, aby załatwić potrzebę fizjologiczną jest nie lada wyczynem. Miejscowi ludzie mówią, że szczególnie w tym roku syberyjska muszka jest prawdziwą plagą. Plagą, którą wywołały samoczynne i spowodowane przez ludzi pożary tajgi. To one wyгнаły ją z jej naturalnego środowiska - ściółki leśnej w tajdze.

Ok. godz. 12.00 upał był tak wielki, że zatrzymaliśmy się na odpoczynek, aby odsapnąć na chwilę od wiosłowania i ataków muszki. Jednak słońce tak przypiekało, że nieźle smażyliśmy się w namiocie.

Po południu zaczął wiać leciutki wiaterek z północy. Ruszyliśmy więc dalej na wodę. Zdjąłem moskiterię z twarzy, gdyż nie było zbyt wiele muszek wokół mnie i położyłem ją przed sobą w kajaku. Raptownie powiał silny szkwał, który wrzucił moskiterie do wody. Bardzo szybko zaczęła tonąć. Próbowałem ją chwycić jeszcze wiosłem. Niestety, moskiteria pograżyła się w odmętach Leny. Miałem świadomość, że poruszanie się bez niej w tych warunkach jest sprawą bardzo trudną i bolesną. Na szczęście prąd rzeki nie był w tym miejscu zbyt szybki, a woda miała może głębokość ok. 3 m. Jednak nikt z nas nie potrafił zlokalizować dokładnego miejsca zatonięcia moskiterii. Ponadto z kajaka nie było widać dna rzeki. Postanowiłem na „chybił – trafił” nurkować i szukać ją pod wodą. Bardzo cieszyłem się teraz z faktu, że wziąłem na tę wyprawę maskę do nurkowania, bowiem miałem wątpliwości w domu, czy ją brać. Teraz tylko dzięki niej miałem jakieś szanse dostrzeżenia zguby. Nurkowałem wielokrotnie przeczesując dno Leny. Niestety bezskutecznie. W końcu bezradny nurkując kolejny raz, przypomniałem sobie, że patronem od rzeczy zagubionych jest Święty Antoni. Do niego zwróciłem się w myślach o pomoc. Wszyscy wiedzieliśmy, że szanse znalezienia moskiterii nie były zbyt duże. Jednak po 10 minutach nurkowania Św. Antoni sprawił, że ujrzałem zgubę pod wodą. Był to dla mnie najwspanialszy widok dnia dzisiejszego.

Płynęliśmy jeszcze kawałek. Namiot rozbiliśmy ok. 2 km za wsią Bojarsk. Potem tradycyjny ceremonial wojenny szybkiego wejścia do namiotu z jak najmniejszą ilością muszki na sobie. Następnie wspólne wybijanie muszki w namiocie, której i tak nie da się wybić do końca. Potem, jak co dzień, Msza Św. Jedzenie i spanie. Budzik nastawiłem na 3.30 rano.

Do Ust-Kuta już tylko ok. 100 km. Z informacji uzyskanych od ludzi wynika, że długość Leny od Kacziuga do Ust-Kuta wynosi ok. 500 km. Wierzę, że Dobry Bóg czuwa nad nami i wysłucha naszych modlitw o zmniejszenie tych chmar muszek nad naszymi głowami.

Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## 16 VI 2003 r.

Wy płynęliśmy o godz. 5.30. Dzisiaj nawet mimo porannej godziny bardzo wcześnie zaatakowała nas muszka. Było to spowodowane tym, że znowu zaczęliśmy wchodzić w jakieś centrum pożaru. Bardzo dużo dymu i roje muszki wokół nas, gryzącej co się da i gdzie się da. W tym dymie minęliśmy jakąś wioskę. Spotkaliśmy w niej strażaków, którzy wyruszyli na motorówce, aby gasić pożar. Zapytali nas gdzie płyniemy i czy mamy chleb. Do brzegów wioski wracał też jakiś dziadek. Prawdopodobnie płynął z połowu ryb. Chciał się podzielić z nami swoimi rybnymi zdobyczami. Ludzie na Syberii są niesamowici. Są bardzo wrażliwi na drugiego człowieka. Są zawsze gotowi pomagać drugiemu człowiekowi w potrzebie. To jest coś czego najbardziej doświadczyć można tylko na Syberii. Od tych ludzi można się tylko uczyć otwartości na drugiego człowieka.

Ok. 15 km za tą wioską zobaczyliśmy parę namiotów rozbitych na prawym brzegu Leny. Jakiś człowiek stojący na brzegu machnął w naszym kierunku ręką zapraszając nas tym gestem do siebie. Przybiliśmy więc do brzegu. Przywitało nas ośmiu ludzi. Byli bardzo zdziwieni widokiem kajaków w tym zadymionym miejscu. Byli strażakami. Dziewięć dni temu, przybyli tu helikopterem, aby gasić tajgę. Po przywitaniu poczęstowałem ich cukierkami. Zaprosili nas na „czaj” i opowiadali o swojej pracy. Chmury muszek kęsały nasze twarze. Wszyscy strażacy pochodzili z miejscowości Żelaznodarozna. Głównym ich sprzętem gaśniczym były piły do cięcia drewna, łopaty i niewielkie gaśnice wody, w kształcie plecaka ok. 30 l. Mówili, że każdego dnia muszą oni wychodzić ok. 20 km w tajgę i walczyć z pożarem. Warunki w jakich muszą pracować są katorżnicze. Ciągłe chmury muszki, żar płomieni palących się setek drzew i gęsty dym. Do tego żywność już się im kończy, a helikopter nie wie, kiedy przyleci z zaopatrzeniem. Muszą więc sami sobie radzić, łapiąc rybę, aby przetrwać. Zarabiają grosze. Dowódca w przeliczeniu rubli na dolary dostaje ok. 80\$ miesięcznie, zaś reszta strażaków ok. 50\$ miesięcznie. Trudno za takie zarobki żyć normalnie w Rosji. Strażacy Ci wywarli na nas ogromne wrażenie. Są naprawdę przykładami hartu ducha ludzkiego i ciała. Pożegnaliśmy się z nimi ok. 12.00 godz. i popłynęliśmy dalej.

Po ok. 20 km od miejsca biwakowania strażaków pogoda się poprawiła. Dymy zniknęły i zaświeciło nad głowami naszymi słońce. Muszka nie gryzła już tak intensywnie, jak w gęstych dymach.

Wiosłowaliśmy w sumie ok. 10 godz. Jesteśmy już ok. 15 km przed Ust-Kutem.

## 17 VI 2003 r. (56°46'45N, 105°44'57E, 259 npm)<sup>2</sup>

<sup>2</sup> To położenie geograficzne wziąłem z GPS w porcie w Ust-Kucie.

Wstaliśmy celowo trochę później, bo o godz. 9.00, ale już o 10.00 zaczęliśmy wiosłować. Po ok. 2 godzinach płynięcia powitały nas dźwigi portowe Ust-Kuta. Nasz największy wróg - syberyjska muszka, im bliżej zbliżaliśmy się do miasta powoli kapitulował.

Byłem w Ust-Kucie już dwa razy przejazdem, cztery i dwa lata temu. Wtedy miasto to wydawało mi się dziurą na końcu świata. Teraz zaś po doświadczeniach prawie 500 km pływającej tajgi, wpływałem do tego miasta z odczuciem, jakbym zbliżał się do centrum wielkiej cywilizacji. Jak szybko może zmienić się punkt spojrzenia człowieka na tą samą rzeczywistość!

Zatrzymaliśmy się na brzegu, w porcie pasażerskim, z którego wypływają promy aż do Jakucka, oddalonego stąd prawie 2000 km. Na powitanie nas wyszli przypadkowo, jacyś dwaj ludzie bardzo dobrze ubrani jak na syberyjskich mieszkańców. Zapytali nas skąd i dokąd płyniemy. Odpowiedziałem więc, że z „dieriewni” Kacziuga do Tiksi. Opowiedziałem im trochę o dotychczasowej naszej podróży, o pożarach i chmarach muszek. Jeden z nich zaoferował nam pomoc w zakupach w Ust-Kucie, bowiem wspomniałem mu o celu naszego zatrzymania się w tym mieście. Wziąłem więc z sobą Tomka, a Piotrkowi zostawiłem przy brzegu, aby pilnował naszych kajaków i ruszyliśmy na zakupy. Przy budynku dworca promowego była apteka. Przewodnik nasz poprosił abyśmy na niego chwilę poczekali, sam zaś wstąpił do apteki i kupił nam, jakiś dezodorant przeciw różnym insektom. Następnie zapytał nas, czy chcemy przetelefonować do Polski. Odpowiedziałem, że „Da”. Zaprowadził nas do jakiegoś dużego budynku do biura. Wejścia do biura pilnowała jakaś sekretarka, która bardzo grzecznie przywitała naszego przewodnika. Szybko zrozumieliśmy, że nasz przewodnik okazał się dyrektorem, jakiejś dużej firmy. Dał nam swoją wizytówkę. Firma jego nazywała się „Eliktroswiaz” a on sam Gultjajew Anatoli Dmitriewicz. Dyrektor Anatol dał nam w swoim biurze telefon, abyśmy mogli przetelefonować do Polski i udostępnił internet, z którego wysłałem parę e-maili. Następnie ruszyliśmy na zakupy. Dyrektor Anatol prowadził nas po różnych spożywczych sklepach, gdzie kupowałem produkty na dalszą podróż. Przewodnik nasz był na tyle miły, że telefonował nawet z swego telefonu komórkowego do dyrektora portu w Kireńsku w celu dowiedzenia się czy jest na tamtych terenach muszka i czy mogą nas tam ugościć, jak przyplyniemy. Niestety nikt nie odbierał telefonu w Kireńsku. Ludzie na Syberii są niesamowici. Kiedy przynieśliśmy zakupy na brzeg Leny dyrektor Anatol dał swój telefon komórkowy Piotrkowi, aby mógł przetelefonować do swojego domu. Wypiliśmy wspólnie z dyrektorem Anatolem przy kajakach po dwa piwa i wyruszyliśmy na dalszy etap naszej wyprawy.

Ust-Kut jest obecnie ok. 60 tysięcznym miastem. Jest jednym z największych miast na arterii Leny. Pełni ono bardzo ważną funkcję transportową, bowiem przez nie przebiega linia kolejowa BAM. W Ust-Kucie jest też jedyny stały most przez rzekę Lenę. W górnym biegu Leny od Kacziuga są też budowane mosty, ale są to zwykle mosty sezonowe i rozmontowywane na okres zimowy. Odnośnie zaś dolnego odcinka rzeki od Ust-Kuta, to nie ma już dalej na Lenie żadnych mostów.

Wypływaliśmy z Ust-Kuta bardzo długo. Mijaliśmy po drodze wiele statków zakotwiczonych przy brzegach Leny. Szczególne wrażenie robią złomowiska statków. Rdzewiejące statki stoją czasami jedno na drugim. Widok ten jest bardzo ciekawy. Od tej pory musieliśmy też uważać, aby nie zderzyć się z jakimś pływającym po Lenie statkiem. Pływa ich bowiem po Lenie na tym odcinku dość dużo.

Lena w tym roku w okolicach Ust-Kuta jest bardzo płytka. Kiedy byłem tu ostatni raz dwa lata temu, to rzeka była co najmniej dwa razy szersza niż aktualnie. Prąd rzeki jak na razie jest dobry.

Wpadłem dzisiaj na pomysł, aby młodym traperom wyznaczyć dyżury kuchenne. Niech się chłopaki uczą. Jak warunki wyprawy będą nadal ciężkie, to będę gotował ja. Jeśli zaś nie, to niech oni biorą się do roboty.

Wiosłowaliśmy dziś w sumie ok. 7 godzin.

## 18 VI 2003 r.

Wyłynęliśmy ok. 9.30 godz. Temperatura powietrza bardzo się obniżyła, niebo się zachmurzyło i zaczął wiać wiatr z północy. Chmury na niebie szybko wędrowały. Parę razy padał nawet przelotny deszcz. Dość ciężko płynęło się pod wiatr, ale to co najważniejsze, nie było muszki. Jak cudowny był świat bez muszki !

Na odcinku Leny Ust-Kut – Kireńsk jest ogromny ruch statków różnego typu, począwszy od pasażerskich do towarowych. Szczególnie utrudnienie na tym odcinku mają w nawigacji długie statki towarowe, z powodu bardzo niskiego stanu wody w tym roku. Pełne zdumienie zbudził we mnie widok manewrów ok. 50 metrowych statków i mniejszych holujących dodatkowo jakieś kontenery, które pokonywały zakręty rzeki o szerokości ok. 20 metrów. Sternicy tych statków musieli być mistrzami nawigacji rzecznej. Miłą niespodzianką był dla nas fakt, że kapitanowie prawie wszystkich mijających nas statków witali nas. Najczęściej dawali ze statku parę dźwięków, witali także czasami poprzez mikrofony, jak i również machali na powitanie rękoma z nawigacyjnych kabin. Stanowiliśmy chyba dla okolicznych ludzi nie typowy widok w naszym sprzęcie pływającym.

Oдноśnie dyżuru kuchennego Tomka, to wypadł na medal. Płynęliśmy dziś ok. 11 godz.

## 19 VI 2003 r.

Wstaliśmy ok. 9 godz. Słońce porządnie już zaczęło przypiekać. W dniu dzisiejszym dyżur kuchenny przypadł na Piotrka. Wszystko szło mu bardzo dobrze do momentu w którym spróbowaliśmy zupki chińskiej. Smak tej zupki był jakiś dziwny. Szybko okazało się, że została ona zalana ciepłą, a nie gotującą się wodą. Wodę do picia braliśmy najczęściej bezpośrednio z rzeki. Ważne więc było jej wygotowanie, zwłaszcza, kiedy zachodziła obawa, że może być brudna z powodu nie wielkiej odległości od miasta, czy też dużej komunikacji statkami, które mogą wylewać do niej przypadkowo, czy też nie, wiele zanieczyszczeń. Wypadało jednak darować Piotrkowi te pierwsze jego kulinarne poczynania, a całe zdarzenie potraktować jako znak, że będzie jeszcze z niego dobry kucharz. W sumie jednak zupa nie była najgorsza, zawsze to było jakieś urozmaicenie w smaku.

Rzeka Lena od Ust-Kuta zmieniła swój charakter. Stała się z cichej, spokojnej rzeczki bardzo uczęszczanym przez statki szlakiem nawigacyjnym. W krajobrazie rzeki pojawiają się teraz dość często, na tle przepięknych odcieni zieleni tajgi i wzgórz, przeróżne statki. Lena stała się także bardzo kręta. Spowodowane to jest pewnie rzeźbą geograficzną tych terenów. Na odcinku od Ust-Kuta do Kireńska nie wpada do Leny żadna większa rzeka. Jeśli chodzi o prąd rzeki, to nie wydaje się on szybki, ani mały. Jest on chyba taki sam, jak na odcinku z Kacziuga do Ust-Kuta. Być może jest to spowodowane dość niskim poziomem wody w rzece w tym roku.

Płynęliśmy ok. 9,5 godz. Biwakujemy prawdopodobnie parę kilometrów za wsią Markowo.

## 20 VI 2003 r.

W dniu dzisiejszym od rana wiał bardzo silny północny wiatr. Bardzo ciężko było płynąć do przodu. Szczególnie duży wysiłek związany z pokonywaniem oporu wiatru odczuwałem w moim kajaku, gdyż nie ma on dobrych właściwości nautycznych. Jest troszeczkę za krótki (4, 85 m) i zbyt szeroki (87 cm), jak na jedną osobę. Starszy kajak na którym płynęli Tomek i Piotrek ma o wiele lepsze właściwości nautyczne. Nie muszą więc się męczyć tak mocno, jak ja.

Pod wieczór dopłynęliśmy do wsi Makarovo. We wsi chcieliśmy się zatrzymać na chwilę, aby nabrać wody (bowiem po drodze nie było strumieni, które wpadałyby do Leny) i kupić chleb oraz inne produkty. Woda od Ust-Kuta jest w Lenie bardzo brudna. Wcześniej od Kacziuga do Ust-Kuta była czysta.

Po wylądowaniu na brzegu we wsi Makarovo przyjechał do nas jakiś ruski samochód typu „gruzawik”. Wyszło z niego nas przywitać dwóch chłopaków. Powiedziałem im w skrócie o naszej podróży i celu zapłynięcia do ich wioski. Zaproponowali mi pomoc. Wsiadliśmy do starego już „gruzawika” i pojechaliśmy szukać jakiegoś otwartego w tych godzinach wieczornych sklepu, aby kupić chleb i inne produkty. Tomek i Piotrek zostali, by pilnować kajaki. Po zakupie produktów spożywczych „gruzawiki” zawieźli mnie do jakiegoś źródła bardzo dobrej wody, które było oddalone jakieś 10 km od wioski. W trakcie rozmowy w samochodzie dowiedziałem się, że obaj „gruzawiki” mają na imię „Aleksi”. Zarabiają oni na życie wożąc drzewo z lasu swoim samochodem.

Kiedy wróciłem z zakupami na plażę, koło naszych kajaków stało dużo gapiów, którzy albo się przypatrywali, albo rozmawiali z Tomkiem i Piotrkim. Wypiłem z „gruzawikami” Aleksami w ramach wdzięczności za ich pomoc po „kielichu”.

Na plaży poznałem jeszcze następnego Aleksiego i jego żonę Niwę. Ten Aleksy był bardzo ciekawym człowiekiem. Służył on 7 miesięcy w Czeczeni, gdzie musiał walczyć. Opowiadał trochę o sobie i swoim życiu. Mówił, że ośmiu chłopaków z jego wioski zginęło w Czeczeni. Na dalszą drogę on i jego żona dali nam mleko i jakiś specjalnie przez nich robiony podpiwek dobry na ugaszenie pragnienia. Po serdecznym pożegnaniu popłynęliśmy dalej.

Ludzie na Syberii są niesamowici. Płynęliśmy dziś ok. 8 godzin.

## 21 VI 2003 r. (57°39'36N, 108°02'17E, 249 npm)

Wy płynęliśmy o godz. 10.00. Zauważyliśmy, że prąd rzeki jest coraz słabszy. Ma się nawet odczucie, że go w ogóle nie ma. Rzeka jest w tych okolicach bardzo kręta. Raz się płynie na północ, a za chwilę wraca się na południe i tak wkoło. Krajobraz niczym szczególnie nie zaskakuje. Płynie się bardzo monotonicznie.

Namiot rozbiliśmy późnym wieczorem naprzeciwko jakiejś wsi, która jest położona na prawym brzegu Leny. Do Kireńska mamy ok. 25 km. Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## 22 VI 2003 r. (57°54'02N, 108°25'38E, 247 npm)

Wstałem ok. godz. 9.00. Kiedy wyszedłem z namiotu, aby się zamoczyć w Lenie na przebudzenie dostrzegłem zbliżającą się motorówkę z trzema chłopakami. Wyszli na brzeg z motorówki i po przywitaniu zapytali mnie, czy nie wiedziałem, gdzieś w okolicy jakiegoś „zwiera”- zwierzęcia do upolowania. Chłopcy jechali bowiem na polowanie. Zaczęliśmy rozmawiać. Gdy się dowiedzieli, że nie mamy chleba na śniadanie wyjęli ze swojej łodzi dwa bochenki. Nie chcieli za nie pieniędzy. Poczęstowaliśmy ich śniadaniem. Oni zaś odwzajemnili się flaszką wódki, którą wspólnie szybko wypiliśmy. Dali mi również postrzelać z ich zabytkowej broni, którą wzięli na swoje łowy. Wymieniliśmy się adresami i serdecznie pożegnaliśmy.

Do Kireńska płynęliśmy z miejsca naszego biwakowania jeszcze ok. 3,5 godz. Zrobiliśmy tam zakupy na dalszą drogę. Kiedy niosłem zakupy z Piotrkim do kajaków dostrzegłem w oddali pływającą koło naszych „bajdarków” znajomą motorówkę. Byłem ciekawy, czemu chłopcy tak szybko wrócili z polowania. Wkrótce bez słów zrozumiałem ich nagły powrót z łowów. Dwaj młodzi myśliwi spali twardo na dnie motorówki w zamroczeniu alkoholowym. Trzeci zaś myśliwy, który pewnie nie pił, tak dużo jak tamci, bowiem musiał kierować łodzią, był trzeźwy. Dał nam na dalszą drogę jeszcze więcej bochenków chleba i wiele innych produktów spożywczych. Eskortował nas również, abyśmy bezpiecznie przepłynęli przez jego miasto, które w jego opinii było niebezpieczne(?).

Niesamowici są ludzie na Syberii.

W Kireńsku wpada do Leny rzeka Kirenga. Z informacji uzyskanych wcześniej od Romana Koperskiego wiedzieliśmy, że dopiero teraz zacznie się porządny prąd rzeki. Cieszyliśmy się przed czasem z myśli, że nie będziemy już musieli silnie wiosłować, a prąd rzeki będzie nas niósł 12 km/h. Byliśmy też bardzo ciekawi na ile informacja ta jest prawdziwa. Niestety bardzo szybko okazała się kłamstwem. Prąd 12 km/h mieliśmy tylko na odcinku ok. 4 km po wpadnięciu Kirengi. Dalej zaś znowu trzeba było silnie wiosłować, jak to robiliśmy dotychczas. Szczególnie na długich prostych. Prąd rzeki w niektórych miejscach trochę przyspieszał, w niektórych był bardzo wolny. Częściej jednak był wolny. Wiosłować i tak trzeba było, jak wcześniej – żadnej zmiany.

Po południu złapał nas deszcz. Dużo niskich chmur wędrowało z kierunku południowego. Płynęliśmy ok. 8 godz.

## 23 VI 2003 r.

Wy płynęliśmy o godz. 10.00. Niebo było bardzo zachmurzone. Mieliśmy więc bardzo dużo przelotnych opadów.

Przed wsią Pietropawłoskoje podpłynęła do mnie motorówka. Piotrek i Tomek w tym czasie znajdowali się jakieś 400 m przede mną. W motorówce było dwóch mężczyzn. Widać, że byli ciekawi, kto płynie w takim niespotykanym w ich regionach sprzęcie wodnym. Na początek wyjęli więc wódkę i poczęstowali „kielichem”. Po tradycyjnym rosyjskim obrzędzie zawarcia przyjaźni rozmawialiśmy na różne tematy. Jeden z nich był z pochodzenia Polakiem nazywał się Jankowski. Po tym jak dowiedział się, że płyniemy kajakami aż do Tiksi

wręczył mi w prezencie, na dalszą drogę, bardzo dobry nóż, który samodzielnie wykonał. Nóż był bardzo ładny, z bardzo dobrej stali i widać było, że jest solidnie wykonany. Głupio mi było go przyjąć nie odwiedzając się czymś w zamian. Nie wiedziałem co mu dać. Przypomniałem sobie, że mam dwie zimowe czapki. Wyjąłem więc jedną i wręczyłem mu w prezencie. Nie chciał jej przyjąć tłumacząc, że za kołem podbiegunowym będzie mi ona bardzo potrzebna. Przekonałem go jednak, że mam jeszcze jedną czapkę, która całkowicie mi wystarczy na zimne klimaty. Niesamowici są ludzie na Syberii. Po pożegnaniu się z nimi popłynąłem dalej. Wkrótce jednak podpłynęła do mnie inna motorówka. Byli to strażnicy rybni, którzy kontrolują na rzece rybaków i ich połowy. Porozmawialiśmy chwilę, wypiliśmy po „kielichu” i serdecznie się pożegnaliśmy. Niesamowici są Ci ludzie na Syberii.

Po południu deszcz padał już przez cały czas. Mimo to płynęliśmy do 22.00 godz. Po rozbiciu namiotu: Msza Św. jak codziennie i spanie.

Płynęliśmy dzisiaj ok. 9 godzin.

## **24 VI 2003 r. (58°34'33N, 109°56'14E, 221 npm)**

Ranek mieliśmy pochmurny i wilgotny. Ciężko było rozpalić ognisko. Wypłynęliśmy ok. godz. 10.00. Niebo trochę się przejaśniło. Podziwialiśmy więc przepiękne krajobrazy brzegów Leny mieniające się tysiącami barw odcieni zieleni tajgi. Wyłaniające się naszym oczom widoki były prześliczne, ale i tak nasze ręce nieustannie machały wiosłami. Pod wieczór zmoczył nas deszcz.

Płynęliśmy ok. 9 godz. Wchodzimy już na dobre w rytm wyprawy. Apetyty wilcze. Żołądki oswojone z niehigienicznym i nieczystym pokarmem. Ciało oswojone z potem i brudem. Mięśnie oswojone z wysiłkiem i bólem. Dłonie oswojone ze spaloną, popękaną i krwawiącą skórą. Syberia nie rozpieszcza. Tu za romantyzm przygody płaci się dużą cenę.

Tempo wyprawy jest, jak na razie dobre.

## **25 VI 2003 r.**

W dniu dzisiejszym wiał prawie przez cały czas dość silny północny wiatr. Na moim kajaku płynęło się piekielnie. Wiatr wiał najczęściej w twarz. Zastanawiałem się dlaczego jest mi tak ciężko nadażyć w moim kajaku za Tomkiem i Piotrkim. Doszedłem do wniosku, że jest to spowodowane wieloma czynnikami.

Po pierwsze budową kajaka, którym płynę. Nie posiada on dobrych właściwości nautycznych. Jest za krótki i zbyt szeroki na jednego człowieka. Kajak ten zacząłem pogardliwie nazywać „pontorem”. Zaletą mego „pontonu” jest to, że jest bardzo stabilny, a przez co bezpieczny. Bardzo ciężko byłoby go wywrócić do góry dnem. Za to, aby móc się nim poruszać do przodu przy dzisiejszej wietrznej pogodzie, to bicepsy trzeba mieć grubo powyżej 40 cm.

Po drugie kajak mój jest porządnie obładowany. Prawie cały ekwipunek naszej wyprawy znajduje się w nim, przez co jest ciężki.

Po trzecie moje wiosło jest drewniane z prostymi piórkami i do tego dość ciężkie. Jednak wiosłując tylko takim wiosłem mogłem poruszać się do przodu dobrym tempem. Gdybym zamienił się z chłopakami wiem, że bardzo szybko zostałbym daleko w tyle i nie byłoby mowy o utrzymaniu jakiegoś dobrego tempa wyprawy. W czasie płynięcia zamieniłem

się nawet na chwilę z chłopakami na wiosła dla sprawdzenia ich zalet. Tomka wiosło po zamianie było w moich rękach jak zabawka dla dziecka, a Piotrka, które jest najlżejsze i najkrótsze ze wszystkich, jak maskotka dla niemowląt. Wiosła ich jednak mają zaletę, że piórka są ustawione pod kontami, przez co nie muszą pchać wiatru. Chłopaki zrewanżowali się mi nazywając moje wiosło „łopatą”.

Po czwarte wiatr, ten nie jest dobry dla mojego kajaka. Gdyby wywoływał on duże fale, to pewnie lepiej bym się poruszał do przodu, chowając się w dolinach fal od wiatru, i serfując z wierzchołków fal. Niestety wiatr ten wiał tak, że nie wywoływał, jakichś szczególnych fal.

Po południu do mojego kajaka podpłynęła motorówka. Było w niej dwóch mężczyzn. Przywitali mnie, po czym zapytali skąd płynę i dokąd. Następnie zaprosili do swojej chatki traperskiej w gościnę. Mówili, że jest ona oddalona z stąd jakieś 25 km w dół rzeki, niedaleko wsi Czastych. Podziękowałem im za zaproszenie i popłynąłem do przodu. Oni zaś popłynęli w górę rzeki, aby „rybaczyć”- łowić ryby.

Wieczorem kiedy zbliżaliśmy się do wioski Czastych zjawili się na motorówce dwaj rybacy, którzy mnie wcześniej zapraszali na gościnę do ich domu. Nie było teraz wyboru, głupio by było im odmówić, tym bardziej, że i tak robiło się już ciemno. Popłynęliśmy więc do ich traperskiej chatki. Gospodarze szybko okazali się wspaniałymi ludźmi. Jeden z nich miał na imię Witia (ok. 60 lat), drugi zaś Władimir (ok. 50 lat). Witia mieszka samotnie w tajdze już od 30 lat. Władimir zaś jest jego kuzynem. Na stałe mieszka w Kireńsku. Aktualnie zaś przyjechał do Witi, aby wspólnie z krewnym połapać ryby i polować. Na początku gospodarze poczęstowali nas wieloma gatunkami surowej ryby. Potem przygotowali „banię”. Witia opowiadał nam dużo o życiu w tajdze i o różnych przygodach, które tutaj przeżył. Przy czym opowiadał to w sposób bardzo humorystyczny. Władimir zaś to człowiek dusza. Widać było, jak z całego serca chciał nas ugościć. Mówił, że jego pradziad był Polakiem. Nazywał się Kuczyński.

Czuło się, że dla tych ludzi najważniejszy jest drugi człowiek i „że tu na Syberii wciąż aktualne jest przysłowie „Gość w domu – Bóg w domu”. Surowa Syberia uczy ogromnej wrażliwości na drugiego człowieka.

Witia krytykował życie w mieście, gdzie człowiek staje się zamknięty. Opowiadał, że kiedyś pojechał do Moskwy i bardzo się zdziwił, że w bloku u swego kuzyna sąsiedzi się nie znają. Kupił więc dużo wódki i zaprosił wszystkich sąsiadów do siebie. Podsumował, że właśnie tacy są Sybiracy.

Pierwszy raz od początku wyprawy spaliśmy pod dachem. Co prawda chatka traperska składała się wyłącznie z jednego pokoju, ale jakoś się w niej pomieściliśmy.

W dniu dzisiejszym płynęliśmy ok. 9 godz.

## **26 VI 2003 r. (58°54'56N, 111°16'51E, 195 npm)**

Rano pożegnaliśmy się serdecznie z Witą i Władimirem i popłynęliśmy dalej z nurtem Leny. Oni zaś motorówką wybrali się, aby wybrać rybę z sieci. Po ok. 25 minutach usłyszeliśmy warkot motorówki za naszymi plecami. To Witia i Władimir płynęli do nas, aby podarować nam na dalszą drogę dopiero co złapanego dużego szczupak. Niesamowici są ludzie na Syberii.

Na najbliższym postoju szybko wypatroszyliśmy i ze smakiem zjedliśmy tego szczupaka. Apetyty bowiem mamy jak głodne wilki, gotowe pożreć wszystko.

W dniu dzisiejszym przywitały nas na rzece przepiękne spadające pionowo do wody skalne klify. Jak do tej pory, to nie widzieliśmy piękniejszych na Lenie. Były naprawdę fantastyczne. Wysokość i kształt ich zapierały dech w piersiach. Do tego były położone w dzikim relatywnie regionie na rzece. Przez cały dzień bowiem nie widzieliśmy ani jednej wioski, ani jednej motorówki. Tylko parę razy - trzy albo cztery - minęły nas na rzece płynące statki.

Mimo, że pogoda była słoneczna wiał północny wiatr. W związku z tym dość ciężko mi osobiście się wiosłowało. Tym bardziej, że moje ręce były w fatalnej kondycji. Skóra na dłoniach jest spalona od słońca i częstego kontaktu z żarem ognisk. Do tego popękana z krwawiącymi dużymi ranami. Na dodatek mam jeszcze jakieś problemy z czuciem w końcówkach palców prawej ręki. Cały czas mam je zdrętwiałe i słabo czuję. Pewnie to jakiś problem związany z nerwami w tej część ciała. Mimo jednak tych bólów twardo się płynię do przodu.

Wiosłowaliśmy dziś ok. 9 godz.

## **27 VI 2003 r. (59°13'06N, 111°56'57E, 188 npm)**

Dzień dzisiejszy był bardzo upalny. Słońce od rana do wieczora porządnie nas przypiekało.

W trakcie płynięcia w rannych jeszcze godzinach zatrzymaliśmy się na chwilę przy jakimś zakotwiczonym w tajdze statku. Ludzie znajdujący się na pokładzie zapraszali nas na „czaj”. Odmówiliśmy im tłumacząc się, że „niet wriemi” – nie mamy czasu. Uwagę naszą jednak skupił znajdujący się na pokładzie mały niedźwiadek. Ludzie mówili, że znaleźli go w lesie. Prawdopodobnie ktoś zabił jego matkę, a on sam uciekł. Niedźwiadek nie miałby żadnych szans na samotne przetrwanie w tajdze. Miał dużo szczęścia, że dobrzy ludzie znaleźli go przypadkowo w lesie. Piotrek zrobił niedźwiadkowi dużo zdjęć.

Po południu podpłynęła do nas motorówka. Był w niej jakiś mężczyzna ze swoim synem. Przyjechali w te regiony Leny, aby połapać rybę. Sami mieszkali w jakieś wiosce odległej stąd ponad 100 km. Porozmawialiśmy krótko na wodzie. Dowiedzieliśmy się od nich, że nie daleko stąd, w dole rzeki jest źródło z leczniczą wodą. Na dalszą drogę dali nam trochę ryby nie dawno złapanej.

Wieczorem przybiliśmy do tego leczniczego źródła. Woda płynęła ze skały, jednak jej zapach przypominał odór zgniłych jaj, więc każdemu z nas szybko odechciało się ją pić.

Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## **28 VI 2003 r. (59°39'53N, 112°47'36E, 175 npm)**

Zbudziłem dziś Piotrka i Tomka trochę wcześniej. Powodem tego była chęć dotarcia w dniu dzisiejszym do wsi Vitim, w której zamierzaliśmy zrobić zakupy na dalszą drogę. Drugim nieoczekiwanym powodem była muszka, który zaatakowała mnie wściekle po wyjściu z namiotu, aby rozpać ognisko. Szybko więc należało działać.

W trakcie płynięcia przypadkowo spotkaliśmy wczorajszego znajomego z synem. Znowu dali nam dużo ryby. Ludzie na Syberii są niesamowici.

Dotarliśmy do Vitima w godzinach popołudniowych. Tam wydarzył się nam pewien incydent. Otóż po zakupach zapoznaliśmy się na plaży z miejscowymi ludźmi. Porozmawialiśmy trochę na różne tematy. Jedna kobieta dała nam na dalszą drogę pierożki, które sama zrobiła. Tomek zaś przez nieuwagę włożył do mojego kajaka ręcznik plażowy tych ludzi. Dopiero po ok. 3 km zauważyłem go leżącego w kajaku. Było mi trochę głupio z tego powodu, bowiem ktoś mógłby pomyśleć, że go celowo ukradliśmy. Wiedziałem, że trzeba go jakoś zwrócić, ale sprawa ta nie była taka prosta. Prąd rzeki Leny bowiem od wypłynięcia do niej rzeki Vitim był naprawdę silny. Płynięcie pod prąd kajakiem zajęłoby dużo czasu i wymagałoby wiele wysiłku. Szczerze mówiąc spróbowałem nawet płynąć pod ten prąd, ale szybko porzuciłem ten pomysł. Zdecydowałem więc, że popłyniemy do najbliższego brzegu i znajdziemy kogoś z motorówką, aby podrzucił któregoś z nas, by oddać ręcznik. Vitim jest dużą wioską i domy ciągnę się przez długi czas koło brzegów Leny. Po paru minutach poszukiwania trafiliśmy na oficera nadzoru rybnego w tym regionie, który zgodził się nam pomóc. Tomek pojechał z nim, aby oddać ręcznik. Ja zaś gawędziłem na brzegu z jakimś wędkarzem, który łapał tu rybę. Dowiedziałem się od niego, że wieś Vitim liczy ok. 6 tysięcy ludzi. W ich wsi nie ma problemu z bezrobociem. Wędkarz mówił, że on sam pracuje w jakiejś firmie, która trudni się wydobywaniem ropy. Miesięcznie zarabia w przeliczeniu na dolary USA ok. 500\$. Do pracy nie ma daleko, bo złoża ropy znajdują się tuż przy ich wiosce. Innym zajęciem, którym trudni się wiele mieszkańców jego wsi jest wyrąb tajgi. Przy pracy tej można zarobić ok. 350\$ miesięcznie. Wędkarz mówił też o jakimś ogromnym meteorycie, który spadł niedaleko wioski rok temu. Dokładnie spadł on na tajgę koło rzeki Vitim ok. 100 km przed wpadnięciem jej do Leny. Wspominał, że przyjeżdżali już badać ten teren naukowcy aż z Japonii. Samotne jednak poruszanie się po tym obszarze jest niebezpieczne z powodu promieniowania.

Mimo iż przygoda z ręcznikiem zajęła nam dużo czasu płynęliśmy ok. 8,5 godz.

## **29 VI 2003 r. (60°08'03N, 113°55'45E, 168 npm)**

Rano znowu dokuczyły nam muszki, więc szybko uciekaliśmy z miejsca biwakowania. Śniadanie jedliśmy dopiero w południe. Dzień był bardzo upalny. Słońce paliło niemiłosiernie. Krajobraz jednak był trochę monotony, tym bardziej, że rzeka była mało kręta. W oddali pojawiły się wierzchołki jakichś wzniesień.

Prąd Leny od wejścia do niej rzeki Vitim znacznie się polepszył. Mieliśmy więc nadzieję, że wreszcie zaczniemy szybciej pokonywać kilometry.

Trochę mi dokuczają pokaleczone ręce. Krew leje się z ran dłoni. Jest to chyba spowodowane moim drewnianym wiosłem i kajakiem, na którym płynę. Skóra dłoni strasznie się napina przy wiosłowaniu a następnie pęka powodując głębokie krwawiące rany. Do tego wiatr, woda, słońce i żar rozpalonych ognisk mają w tym swój niemały udział. To nic, kiedyś w końcu skóra musi przywyknąć do takich warunków.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

## **30 VI 2003 r. (60°37'49N, 114°42'02E, 148 npm)**

Pochmurny dzień. Parę razy skropił nas podczas płynięcia maleńki deszczyk. Krajobraz monotony. W sumie nic ciekawego.

Najgorszym problemem był dla mnie dzisiaj wiatr wiejący prosto w twarz. Kajak na którym płynę, to prawdziwa katorga dla ciała i psychiki. Nie dość, że wymaga ode mnie użycia nieludzkich sił podczas płynięcia w takich warunkach, to na dodatek nie można na nim utrzymać obranego kursu. I właśnie walka o utrzymanie kursu powoduje zaangażowanie dodatkowych sił. Płynę więc często zygzakiem. Staram się jednak trzymać dobre tempo. Jestem pewny, że ani Tomek ani Piotrek nie przepłynęliby tym kajakiem, w takich warunkach i takim tempem, ani kilometra.

Lena jest na tym odcinku nudna i monotonna. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej. Płynęliśmy ok. 9 godz.

## **1 VII 2003 r. (60°41'39N, 115°48'03E, 147 npm)**

Rano powitał nas pochmurny dzień. Było bardzo zimno. Wiał silny północno-wschodni wiatr. Zauważyłem, że jak do tej pory najczęściej z tamtego kierunku wieją wiatry. Nie są one przyjemne do płynięcia w kajakach, gdyż wieją w twarz. Wiatry z południa są rzadkością.

W związku z tym silnym i chłodnym wiatrem z Arktyki trzeba się było ubrać w jakieś cieplejsze ciuchy. W trakcie rannego wiosłowania dłonie rąk drętwiały mi bez czucia od zimna. Kiedy pojawiały się porywy szkwału ciężko mi było nadażyć za kajakiem Tomka i Piotra. Zostawałem więc w tyle. Chłopcy nie muszą wkładać w wiosłowanie w takich warunkach „tylu sił co ja. Wypruwam wszystkie żyły i prawie stoję w miejscu. Przeklinam mój „ponton” i „łopatę”, sadząc że to doda mi jeszcze więcej sił. Pocieszam się myślą, że ani Tomek ani Piotrek nie dali by rady w takich warunkach i na takim sprzęcie poruszać się do przodu.

Po ok. dwóch godzinach walki z wiatrem wpłynęliśmy do Leńska. Tutaj zrobiliśmy zakupy. Potem przed wyruszeniem dalej porozmawialiśmy chwilę przy kajakach z jakimś miejscowym człowiekiem. Pokazał nam dokąd sięgała woda w tym mieście podczas powodzi dwa lata temu. Była to wysokość ok. 20 m wyżej od normalnej powierzchni wody. Wtedy to prawie całe miasto było zalane wodą

Po południu pogoda się polepszyła. Przestał wreszcie wiać ten paskudny północno-wschodni wiatr. Lena za Leńskiem ma już od jednego do dwóch kilometrów szerokości. Nie jest zbyt kręta, posiada w swoim biegu dość długie odcinki proste. Płynęło mi się bez wiatru w twarz wyśmienicie. Wieczorem tak przewiosłowałem, że odstawiłem nawet chłopaków o 45 minut. Musiałem im pokazać, kto tu jest mistrzem wiosłowania! Ważny jest przecież autorytet na wyprawie, a że warunki były dobre, to trzeba było go potwierdzić.

Płynęliśmy ok. 8,5 godz.

## **2 VII 2003 r. (60°18'59N, 116°59'24E, 144 npm)**

W dniu dzisiejszym nic szczególnego się nie wydarzyło. Pogoda była dobra. Wiał leciutki wiaterek i świeciło słońce. Nie było żadnych muszek ani też komarów. W związku z tym płynęło się naprawdę fajnie, choć krajobraz był trochę monotony.

Lena w tych regionach jest szeroką rzeką. Kiedy więc wieje wiatr powoli tworzą się morskie fale. Doradziłem chłopakom, aby lepiej upakowali bagaże w swym kajaku by bezpiecznie mogli poruszać się na większych falach.

Płynęliśmy ok. 9 godz.

### **3 VII 2003 r. (59°45'51N, 118°00'25E, 140 npm)**

Dzisiaj od rana do południa padał deszcz. Piotrek z Tomkiem zamienili się miejscami w kajaku. Piotrek przeszedł do przodu, a Tomek zajął miejsce z tyłu.

Lena od rzeki Vitim nabrała prędkości. Sprawnie więc pokonywaliśmy kilometry.

Po południu pogoda się polepszyła. Zaczął wiać południowo-zachodni wiatr. Bardzo nam to odpowiadało bowiem wiał prawie w plecy. Płynęło się bardzo fajnie, tym bardziej, że zjedliśmy a raczej pożarliśmy porządny posiłek – garnek makaronów, z cebulką przysmażoną z salami. Kiedy więc żołądek pełny, to i świat robi się piękniejszy. Na wyprawie wszystko jest takie proste. Czasami do szczęścia potrzeba tak mało. Makarony przyprawione w niedomytym i brudnym od sadzy i poprzedniego gotowania garnku, z cebulką i salami przypieczonymi na pokrywce od menażki spożyte w niedomytej menażce smakujące, jak najlepszy przysmak na świecie. A potem płynąc w kajaku, kiedy słońce świeci nad głową i wiatr wieje w plecy, a dookoła piękne krajobrazy - naprawdę nic więcej już do szczęścia nie potrzeba. Dziwny jest ten świat.

Płynęliśmy ok. 9,5 godz. Namiot rozbiliśmy o 1.00 w nocy.

### **4 VII 2003 r. (60°07'34N, 119°14'55E, 126 npm)**

Dzień podobny do każdego innego. W jakiejś wiosce kupiliśmy chleb. Cena chleba wynosiła aż 17 rubli (60 centów USA) za bochenek. Była więc to najwyższa cena jaką zapłaciliśmy do tej pory za chleb. W Ust-Kucie jeden bochenek chleba kosztował 6 rubli. Zauważyliśmy, że im dalej na północ, to ceny prawie wszystkich artykułów idą w górę.

W czasie popołudniowego postoju podjechał do nas pewien chłopak na koniu. Do jego konia był przywiązany drugi koń. Porozmawialiśmy chwilę. Mówił, że jedzie na polowanie do tajgi. Jego koledzy czekają na niego gdzieś w lesie. Chwalił się przed nami swoim nożem, który podarował mu jego dziadek. Zauważyłem, że tutaj na Syberii, to prawie każdy chłopak, czy też mężczyzna nosi przypięty do pasa nóż. Większość też ludzi żyje z polowań i rybołówstwa. Nikt tu nie poluje, czy też łapie ryby dla przyjemności.

Skończyliśmy wiosłowanie o 1.30 w nocy bo trudno nam było znaleźć jakieś dobre miejsce na biwakowanie.

Płynęliśmy ok. 11 godz.

### **5 VII 2003 r. (60°15'46N, 119°59'49E, 126 npm)**

Rano spaliśmy prawie do 11 godziny dlatego też dość późno wypłynęliśmy.

Płynęło się trochę monotennie. Wiatr w twarz i krajobraz nie szczególny. Jednym słowem monotonne robienie kilometrów.

Lena jest na tym odcinku niezbyt ciekawa, im bliżej Olëkmionska płynie coraz wolniej. Prąd rzeki jest bardzo powolny, a czasami w ogóle go nie ma. Krajobraz robi się płaski, łąkowy.

Spotkani przypadkowo po drodze ludzie wspominają nam już od paru dni o jakimś francuskim podróżniku, który idzie piechotą wzdłuż brzegów Leny. Wyruszył on z miasta Jakuck i chce dojść aż do granic Mongolii. Mówią też o jakiejś innej wyprawie francuskiej, która była siedem lat temu w czasie zimy. Wyprawie tej ukradziono w jednej z tutejszych wiosek sprzęt video. Wspominają też o jakimś Japończyku, który był tu zimą parę lat temu.

Dziwi nas fakt, że nikt nie pamięta wyprawy na pontonie Romana Koperskiego z 1998 r. Prawie przy każdym spotkaniu z ludźmi, od początku wyprawy pytamy ich o wcześniejsze wyprawy na Lenie. Nikt nie widział, ani słyszał nic odnośnie wyprawy Romana Koperskiego. Jak do tej pory spotkaliśmy tylko jednego dziadka, który wspominał nam coś o wyprawie Romana Koperskiego. Było to jednak jeszcze przed Ust-Kutem. Potem wielka cisza. Nikt z ludzi przez nas spotkanych nie widział go, czy też słyszał coś o jego wyprawie?!

Namiot rozbiliśmy ok. 25 km przed miejscowością Olëkmionsk. Widzę, że Tomek i Piotrek są już zmęczeni zarówno fizycznie jak i psychicznie wyprawą. Od wielu dni wspominają mi o ewentualnym wycofaniu się z wyprawy w Jakucku. Wiem jednak, że są od siebie zależni. Piotrek nie wycofa się bez Tomka, ani Tomek bez Piotrka. Dalej ani Piotrek sam nie da rady wiosłować bez Tomka, ani też Tomek bez Piotrka. Mam nadzieję, że wszystko będzie OK.

Płynęliśmy dziś ok. 7 godz.

## **6 VII 2003 r. (60°37'52N, 121°16'09E, 121 npm)**

Ranek płynęło się nam tragicznie. Lena przed Olëkmionskiem stała się szeroką rzeką i nie miała żadnego nurtu.

Do Olëkmionska płynęliśmy ok. 3,5 godz. W mieście tym zrobiliśmy zakupy na dalszą drogę. Ceny artykułów spożywczych były nieznacznie tańsze niż w Leńsku. Na brzegu, gdzie stały nasze kajaki pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich przyniósł nam ze swojego domu , który znajdował się niedaleko rzeki, „czaj”. Drugi z nich dziadek opowiadał nam o życiu na Syberii. Wspominał też o wyprawie Francuzów, która była siedem lat temu. Udzielił nam wskazówek, w jakich pobliskich miejscach na Lenie można złapać dużo i szybko rybę.

Kiedy wypływaliśmy z tej miejscowości przyплыnęła do nas motorówka. Prowadził ją trochę już podpity gość. Na imię miał Igor. Mówił, że jest inżynierem i pracuje w jakiejś firmie elektronicznej. Igor zapraszał nas do siebie do domu w gościnę. Odmówiliśmy mu tłumacząc, że „niet wriemi”- nie mamy czasu. Dał nam na dalszą drogę trochę produktów spożywczych. Niesamowici są ludzie na Syberii.

Za miastem Olëkmionsk wpada do Leny rzeka Olëkma. Rzeka ta zasila dość znacznie w wodę Lenę. W związku z tym Lena staje się trochę szersza. Nurt Leny po wpadnięciu Olëkmy wynosi ok. 5 km/h. Pewnie długo się ta prędkość nie utrzyma?

Z dotychczasowych naszych obserwacji wynika, że Lena nie ma wcale szybkiego ogólnie nurtu, jak do tego momentu naszej wyprawy. Na niektórych swoich maleńkich

odcinkach przyśpiesza, a na niektórych prawie zanika. W sumie średni nurt rzeki wynosi ok. 3 km/h.

Płynęliśmy ok. 10 godz.

## **7 VII 2003 r. (60°32'55N, 122°40'31E, 116 npm)**

Przez pierwsze trzy godziny płynęło się nam świetnie, bowiem nie było żadnego wiatru w twarz. Potem przyszedł północno-wschodni wiatr i zaczęła się mordęga. Zauważyłem, że jak do tej pory, to najczęściej wieją nam wiatry z tamtego kierunku. Wiatr ten jest na tyle silny, że często zmienia całkowicie nurt rzeki. Chcąc poruszać się do przodu trzeba się niezłe namęczyć. Tempo wyprawy jak na razie dobre. Nieustanne płynięcie machając wiosłami, jedzenie i spanie- to codzienne realia wyprawy, dzięki którym przybywa nam kilometrów. Najczęściej płyniemy rano nieustannie 4 godziny albo więcej, potem robimy przerwę na posiłek i znowu płyniemy cztery lub więcej godzin. Czasami robimy jeszcze wieczorną przerwę w celu pokonania jeszcze większej ilości kilometrów. Potem spanie.

Z obserwacji warunków atmosferycznych i hydrograficznych rzeki dochodzę do wniosku, że tylko kajakami można poruszać się po rzece w takim tempie jak my. Inne łodzie wiosłowe: ponton, czy też zwykła łódka, to co najmniej dwukrotnie, albo trzykrotnie wolniejsze tempo i większy wysiłek.

Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## **8 VII 2003 r. (60°40'08N, 124°23'22E, 115 npm)**

Od samego poranka niebo było pochmurne i padał deszcz. Właściwie to deszcz padał prawie nieustannie aż do godz. 18.00. Mimo to twardo płynęliśmy do przodu. Wieczorem trochę się wypogodziło, ale chmury nadal zasnuwały niebo. Szczerze mówiąc wygląda bardzo misternie na tle wzgórz i wód Leny.

Piotrka i Tomka nadal kusi rezygnacja z wyprawy i powrót do domu, tym bardziej, że niedaleko już do Jakucka. Świadomie, czy też nie szukają i próbują wmówić sobie i mi argumenty, które by usprawiedliwiały tę decyzję. Ja jednak twardo i konkretnie wyraziłem im swoją opinię na ten temat. Dla mnie jest to ucieczka i poddanie się.

Płynęliśmy ok. 10 godz.

Chłopcy stwierdzili zgodnie, że płynięcie pontonem po Lenie jest raczej niemożliwe przy takim nurcie rzeki.

## **9 VII 2003 r. (60°55'30N, 125°52'37E, 109 npm)**

Rano było pochmurnie. Śniadania nie zjedliśmy w miejscu biwakowania, bowiem było zbyt dużo komarów, które usiłowały posilić się naszą krwią na śniadanko. Zjedliśmy je później w miejscu trochę wolniejszym od ich obecności. Komary, muszki, gzy to najbardziej liczni i namolni mieszkańcy tajgi w okresie syberyjskiego lata. Na tych terenach są one wrogami numer jeden dla człowieka .

Po południu pogoda się roz pogodziła. Można było więc posuszyć trochę mokre ciuchy. Krajobraz na Lenie powoli zaczął się zmieniać. Skaliste pocięte klify ciągnące się wzdłuż brzegów rzeki kształtują obraz tutejszej Leny. Rzeka również bardziej staje się szeroka. W niektórych miejscach dochodzi nawet do ok. 8 km. Nurt Leny nie zmienił się. W miejscach, gdzie rzeka się zwęża, lub pośrodku niej jest jakaś wyspa, prąd rzeki przyśpiesza. Natomiast w innych miejscach nurt rzeki jest wolny, a nawet czasami nie ma go w ogóle. W sumie nic się w naszym kajakowaniu nie zmieniło. Nadal ostro wiosłujemy.

Piotrek i Tomek złapali już dawno rytm wyprawy i płyną świetnie. Nie muszę im za dużo mówić , co mają robić. Zazwyczaj sami już wyczuwają co należy w danym momencie zrobić. Pomysł dyżurów kuchennych odrzuciłem. Wszystko trwało za długo. Ponieważ spełniam rolę budzika wyprawowego i pierwszy zawsze jestem na nogach dlatego to ja rozpalam ognisko i przygotowuję posiłek z rana. Chłopcy zazwyczaj pakują w tym czasie swoje ciuchy i składają namiot. W czasie przerwy popołudniowej, bywa różnie. Najczęściej jednak wspólnie przygotowujemy posiłek. Wieczorem też wspólnie rozbijamy namiot. Bardzo rzadko już udzielam chłopakom jakiegokolwiek uwagi. Nie chcę się bawić w pedagoga, nie o to chodzi, tylko o tempo wyprawy, by osiągnąć zamierzony cel.

Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## **10 VII 2003 r. (61°06'54N, 127°15'01E, 109 npm)**

Dzień jak każdy inny. Rano przez ok. dwie godziny płynęło się dobrze. Potem przyszedł wiatr w twarz, który przyniósł chmury i przelotny deszcz.

Powoli zaczyna już męczyć monotonia. Każdy dzień robi się podobny do siebie. Krajobraz Leny niczym szczególnym, jak na razie nie szokuje.

Podwieczór dopłynęliśmy wreszcie do przepięknych Leńskich Stołbów. Są to postrzępione skalne klify, które ciągną się wzdłuż Leny. Są one efektem działania przez tysiące, a może i miliony lat wody i wiatrów. Ci naturalni rzeźbiarze w sposób niewiarygodny wyrzeźbili w przeróżne kształty pionowe klify, które pionowo spadają do wody. Podziwialiśmy w zachwycie te cuda natury. Naszą uwagę zwróciły efekty akustyczne, które można podziwiać po puszczeniu echa. Fala dźwiękowa jest wielokrotnie odbijana o różne skały i ulega przeróżnym załamaniom. Powoduje to niesamowite efekty akustyczne. Bawiliśmy się wypuszczając różne dźwięki i słuchając jego interesującego wielokrotnego echa.

Prąd rzeki nie szczególnie na tym odcinku. Nic się nie zmieniło.

Płynęliśmy ok. 9 godz.

## **11 VII 2003 r. (61°15'29N, 128°07'43E, 100 npm)**

Rano wyruszyliśmy trochę późno. Nazbierało mi się bowiem parę rzeczy do pilnego pozszywania. Moje spodnie były dość mocno podziurawione od częstego przebywania koło ognisk w każdej chwili groziły całkowitemu rozleceniu się. Podobnie było też z jednym z moich butów, któremu odpadała już prawie całkowicie podeszwa. Ze spodniami poszło mi gładko gorzej było z butem. W trakcie jego zszywania połamałem aż trzy igły. Na szczęście podeszwę przymocowałem.

Kiedy wypłynęliśmy wiał bardzo silny wiatr. Oczywiście z kierunku z którego najczęściej tu wieją wiatry, czyli z NE. Wiał prosto w twarz. Bardzo mocno trzeba było wiosłować, by poruszać się do przodu. Nurt rzeki był silny, ale niestety w odwrotnym do normalnego nurtu rzeki i celu naszej wędrówki.

W wiosce Tumul zatrzymaliśmy się, aby kupić parę bochenków chleba. Przy naszych kajakach, jak zwykle to bywa, zgromadziło się trochę ludzi. Byli mieszkańcami tej jakuckiej wioski. W trakcie rozmów porozumiewali się ze sobą w języku jakuckim. Powiedzieli nam, że język jakucki jest bardzo podobny do języka kirgiskiego. Jeden z Jakutów bardzo chciał sprzedać nam za 50\$ swój jakucki nóż. Odpowiedziałem, że nie bo mamy noże. Pokazałem mu nóż, który dostałem w prezencie od dobrego człowieka w czasie trwania tej wyprawy. Jakut jednak chciał udowodnić wartość swego noża. Wziął mój nóż w jedną rękę drugi w drugą i uderzył ostrzami obu noży o siebie. Niestety stal mojego noża była tak twarda, że nie pojawiła się żadna rysa. Natomiast na ostrzu noża Jakuta pojawiła się głęboka rysa. Inni Jakuci śmieli się z całego zdarzenia. Biedny Jakut nie spodziewał się, że może być nóż zrobiony z twardszej stali niż jego.

Po południu w trakcie płynięcia zmoczył nas bardzo silny deszcz.

Wieczorem podpłynęła do naszych kajaków na wodzie jakaś motorówka. Znajdowało się w niej dużo dzieciaków i paru nauczycieli. Jechali na jednodniowy biwak koło Leńskich Stołbów. Jeden z nauczycieli- historyk, powiedział nam o starych rysunkach skalnych, które są namalowane na ścianach skalnych „stołbów”. Wspomniał też o jaskiniach pierwotnych ludzi, które znajdują się też w „stołbach”. Nauczyciel poinformował nas o grupie archeologów, która prowadzi jakieś prace badawcze niedaleko stąd. Wśród tej grupy jest ponoć jakiś najlepszy archeolog w Jakucji, który nazywa się Kaczmar i jest specjalistą w odczytywaniu tych skalnych rysunków. Nauczyciel mówił też o niektórych Polakach, którzy wnieśli swój wkład w kulturę Jakucji. Odnośnie wypraw, to wspomniał o zimowej ekspedycji Jacka Pałkiewicza do bieguna zimna – Wierchojońska.

Rzeczą szczególną, która nas uderza jest to, że nikt ze spotykanych przez nas po drodze ludzi nie pamięta wyprawy na pontonie Romana Koperskiego z 1998 r. Jest to bardzo dziwna rzecz, bowiem podróżnik ten podczas wyprawy, jak napisał w swojej książce, korzystał cały czas z pomocy ludzi, gdyż był bez pieniędzy i poruszał się pontonem oblepionym porządnie naklejkami jego sponsorów? Co więcej, jest to tym bardziej dziwne, że przy takim nurcie rzeki i takich wiatrach jakie tu mieliśmy nie wydaje się nam osobiście realne płynięcie pontonem?

Płynęliśmy ok. 8 godz. Jutro zamierzamy się spotkać z grupą archeologów.

**12 VII 2003 r.**

Od samego rana wiał dość silny wiatr z północnego-wschodu. Rozpaliłem ognisko i postawiłem garnek, aby ugotować wodę na herbatę. Nagłe widzę, że zbliża się w moim kierunku, jakaś motorówka z dwojgiem ludzi. Kiedy już przybili do brzegu zapytali mnie, czy nie potrzebujemy jakiejś pomocy. Byliśmy bowiem rozbici na jakiejś wyspie i rzeczywiście, ktoś patrząc na nas z daleka mógłby pomyśleć, że coś się stało. Odpowiedziałem, że „Niet”. Pomogłem im wypchnąć motorówkę na brzeg. Dwaj nieznajomi przybysze przedstawili się: Aleksander i Aliosza. Aleksander był trochę pijany, ale z jego twarzy promieniował serdeczny, gościnny uśmiech. Porozmawialiśmy trochę na brzegu, poczym Aleksander zaproponował nam przejażdżkę na motorówce w celu pokazania nam pieczar skalnych, w których prawdopodobnie żyli pierwotni ludzie. Ja i Piotrek wsiedliśmy na pokład motorówki, Tomek zaś został na wyspie, aby pilnować kajaków. Pogoda nie była najlepsza do takich przejażdżek, bowiem wiał dość silny wiatr i były fale. Aleksander zaś jak wariat prowadził nonszalancko jedną ręką motorówkę. Powiedział, że w taką pogodę tylko rybacy są na tyle odważni, aby pływać. On zaś jest dobrym rybakiem. Skakaliśmy z fali na falę. Trzeba się było mocno trzymać, aby nie wylecieć za burtę. Aleksander pokazał nam na lewym brzegu rzeki przepiękne pieczary, w których mówił, że żyli pierwotni ludzie, oraz cudowne „stołby”, o przeróżnych kształtach. Piotrek robił co chwila zdjęcia, ja utrwalałem na video te piękne miejsca. Przejażdżka trwała ok. 1,5 godz. Po powrocie na wyspę, gdzie stały nasze kajaki wymieniliśmy się adresami. Aleksander robił to z takim przejęciem, jakby był ministrem i zawierał jakąś umowę międzynarodową. Podziękowaliśmy bardzo śmiesznemu Aleksandrowi i jego bratu Alioszy za ich gościnność.

Wyłynęliśmy ok. 11.00 godz. Wiał coraz silniejszy wiatr w twarz i zaczęły się pojawiać duże fale. Bardzo ciężko płynęło się do przodu. Rzeka od tego silnego wiatru zmieniła całkowicie swój nurt. Uciekliśmy prawie do samego brzegu i tak płynęliśmy do przodu. Po ok. czterech godzinach płynięcia dostrzeżliśmy obóz badawczy archeologów. Bazowali oni nad małą rzeczką, która wpada do Leny i nazywa się prawdopodobnie Czarnoje. W obozie znajdowało się ok. 20 studentów i kadra wychowawcza. Przyjęli nas bardzo gościnie. Na początku poczęstowali posiłkiem, a potem poszliśmy oglądać „pisanice”- rysunki skalne. Archeolodzy mówili, że niektóre z „pisanic” liczą nawet ok. 10 tysięcy lat. Znajdują się nie tylko w tym regionie Leny, ale można je spotkać również w innych częściach rzeki, jak i również na innych syberyjskich rzekach. Najbardziej znaną jest w tym regionie „pisanica” przedstawiająca łosicę i łosia oraz umierającego ich małego łosiątka. Obraz ten namalowany jest na krawędzi skalnego klifu. Ludzie miejscowi od wieków przychodzą, aby go oglądać i zawsze zostawiają przy nim coś na „pamiątkę”. Andriej, który napisał pracę naukową na temat „pisanic” mówił, że prawdopodobnie kiedyś bardzo dawno temu ludzie, zamieszkujący te tereny wierzyli, że w górze tej, na której jest namalowana ta „pisanica” z umierającym łosiątkiem mieszka duch i przychodzili tu, aby się modlić. Zwyczaj przychodzenia na to miejsce i zostawiania czegoś na „pamiątkę” przetrwał aż do czasów dzisiejszych. Andriej z kadrą archeologów oprowadzali nas po krawędziach tej góry i pokazywali nam różne „pisanice”. Objaśniali ich tajemnice. „Pisanic” jest w tym regionie ok. 300. Pochodzą z różnych epok i przedstawiają różne motywy. Są np. rysunki przedstawiające szamana, łódkę, zwierzęta itp. Znajdują się również rysunki, które są jakimiś znakami - kalendarzem czy też pismem pierwotnym? Większość z nich czeka jeszcze na rozszyfrowanie ich znaczenia. Chodziliśmy z Andriejem nawet w tajgę, aby obejrzyć niektóre z „pisanic”. Andriej szedł tylko w klapkach, a poruszał się tak zwinnie, że ciężko mu było dotrzymać kroku. Powiedział, że już wiele lat spędził wędrując przez gęstwiny tajgi, w celu odkrywania coraz nowszych „pisanic”. Widać było w nim pasję odkrywczą naukowca. Pokazał nam nawet jedną z „pisanic”, którą odkrył wczoraj. Był to jakiś znak w kształcie litery T. Andriej był ciekawym

człowiekiem. Był wielokrotnym laureatem różnych olimpiad naukowych w Jakucji. Dzięki temu studiował rok na uniwersytecie oxfordzkim w Anglii. Dowiedzieliśmy się od niego i innych młodych naukowców, że na drugim brzegu Leny naprzeciwko miejsca biwakowania archeologów odkryto ślady bytności pierwotnego człowieka. Naukowcy datują je różnie, począwszy od okresu 3 milionów aż do 1,5 miliona. Fakt ten robi łamigłówkę dla paleontologów, którzy byli zwolennikami teorii afrykańskiego pochodzenia człowieka.

Wieczorem, kiedy zamierzaliśmy już wypływać do obozu przyjechał prof. Kaczmar. Człowiek ten jest uważany za najlepszego archeologa w Jakucji. Jest specjalistą od „pisanic”, które odkrywa i bada już od 25 lat. Wygląd jego był bardzo oryginalny. Wzrostu ok. 1,90 cm, dobrze zbudowany. Miał dość długie siwe włosy i długą brodę. Ubrany był w kurtkę brezentową, z boku miał torebkę, w której nosił mapę, kompas i wiele swoich notatek. Jednym słowem naukowiec z krwi i kości. Do tego z niesamowitym temperamentem i charyzmą. Po przywitaniu się z nami nie chciał nas puścić, tak szybko ze swojego obozu. Zresztą i my byliśmy ciekawi poznania jego osoby. Zaprosił nas i całą kadrę naukową na kolację. Kolacja była pod gołym niebem. Profesor wyjął na stół flaszkę wódki i inne produkty, które kupił w Jakucku. Biło od niego „wielkie serce” i temperament. Miał też przy sobie pistolet- raketnicę, która głośno strzelała. Po toaście wódki „za polskich druzji”- polskich przyjaciół, wystrzelił parę razy na naszą cześć ze swojego pistoletu. Niesamowity człowiek i naukowiec. Potem wdałem się z profesorem w długą dyskusję naukową. Wszyscy zgromadzeni przy stole poszli do ogniska, gdzie komary mniej gryzły, a ja z profesorem prowadziliśmy dialog. Tematem przewodnim był problem antropogenezy, genezy religii i metod datowania odkryć w archeologii. Bardzo dużo wyniosłem z tej rozmowy. W wielu punktach wnioski profesora były odzwierciedleniem moich przemyśleń na te tematy.

Namiot rozbiliśmy koło obozu archeologów. Położyliśmy się spać ok. 2.00 w nocy.

Wiosłowaliśmy dziś tylko 4 godz. Warto jednak było zatrzymać się w takim miejscu i mieć możliwość poznania tylu ciekawych odkryć archeologicznych i niesamowitych naukowców, a zwłaszcza profesora Kaczmar.

## **13 VII 2003 r. (61°42'55N, 129°32'00E, 91 npm)**

Rano zjedliśmy śniadanie z grupą archeologów i przewodniczącym im profesorem Kaczmarem. Profesor po raz kolejny urzekł mnie swoją osobowością: gościnną i otwartością na drugiego człowieka. Opowiadał nam o historii Jakucji. Dawał nam porady na dalszą drogę. Mówił też, po obejrzeniu naszej mapy i naszego sprzętu na wyprawę, że przypominamy mu pierwszych pionierów odkrywców, którzy szli w nieznaną. Radził nam, abyśmy w Jakucku zaopatrzyli się w jakieś dokładniejsze mapy. Profesor nadmienił również, że kiedyś, jak był młody, to też z kolegami pływał kajakiem po wielu rosyjskich rzekach. Urodził się na Ukrainie, ale losy zanosły go na daleką Syberię. Pracował na uniwersytecie w Moskwie, ale nie odpowiadał mu klimat stolicy. Przeniósł się więc do Jakucji. Lubi on bowiem dziką i piękną przyrodę. Teren Jakucji jest co najmniej pięć razy większy niż powierzchnia Francji. Żyje na nim tylko ok. miliona ludzi. Te warunki są między innymi jednym z główniejszych powodów dlaczego ludzie na Syberii są bardzo gościnni i otwarci na drugiego człowieka. Człowiek jak spotyka drugiego człowieka w tajdze to się raduje i cieszy. Człowiek cieszy się z możliwości zobaczenia drugiego człowieka i porozmawiania z nim. Profesor mówił, że na Syberii mieszkają w większości bardzo dobrzy ludzie. Przestrzegał jednak nas, abyśmy pamiętali także, że Syberia, to „tjurma” – więzienie wielu narodów. Na pożegnanie profesor polecił nam zwiedzić muzeum etnografii przy Uniwersytecie Jakuckim. Uściskał nas po ojcowsku po czym kiedy wypływaliśmy wystrzelił na pomyślność naszej

ekspedycji z raketnicy. My odwzajemniliśmy się wystrzałem maleńkiej rakiety z naszego pistoletu straszaka. Tak niesamowitego i oryginalnego naukowca z tak wielkim sercem i temperamentem, to ja jeszcze w swoim życiu nie wiedziałem. Człowiek ten wniósł w naszą wyprawę nowego ducha.

Płynęliśmy tego dnia ok. 10 godz. Do Jakucka zostało nam ok. 50 km.

## **14 VII 2003r (62°05'26N, 129°50'19E, 86 npm)**

Spaliśmy krótko, bo ok. 5 godz. Obudziłem wcześniej rano chłopaków i wypłynęliśmy. Jakuck jest położony na lewym brzegu Leny, ale trochę na jej poboczu od głównego nurtu. Lena jest w tych miejscach dość szeroką rzeką i wewnątrz niej znajduje się bardzo dużo wysp. Przebijaliśmy się więc między wyspami, aby na czas zapłynąć do Jakucka. Chcieliśmy bowiem zwiedzić muzeum etnografii w Jakucku i zrobić porządne zakupy na dalszą drogę. Postanowiliśmy, że wpłyniemy do Jakucka trzymając się cały czas lewego brzegu Leny. Profesor Kaczmar powiedział nam wcześniej o takiej możliwości. Nie chcieliśmy obierać szlaku głównego do Jakucka, którym wpływają statki. Jest on o wiele dłuższy. W pewnym momencie bowiem trzeba się cofać, aby płynąć pod prąd trafić do jakuckiego portu. W wypadku kajaków byłoby to niepotrzebne robienie zbędnych kilometrów.

Do Jakucka płynęliśmy ok. 6 godz. Byliśmy mocno zmęczeni, gdyż płynęliśmy bez śniadania i po krótkim śnie. Jakuck zaskoczył nas swoim nowoczesnym budownictwem. Mieszka w nim ok. 300 tys. ludzi. Miasto jest dość schludne i ładne. Kupiłem w nim mapę na dalszą drogę i zwiedziłem wraz z Piotrkim muzeum etnografii przy Uniwersytecie Jakuckim. Mapa, co prawda nie miała dokładnej podziałki, ale miała zaznaczone równoleżniki i południki. W Uniwersytecie kupiłem trochę książek naukowych i poznałem naukowca paleontologa, który zajmuje się mamutami. Na imię miał Boeskorov Gennady. Dość dużo dowiedziałem się od niego o mamutach. Zauważyłem, że w Jakucku spotkać można na drogach bardzo dużo samochodów japońskich. Dowiedziałem się, że mieszkańcy Jakucji jeżdżą aż do Władywostoku po zakup tych samochodów. Kupują je tam za bardzo tanią cenę. Po czym wracają nim do Jakucji. Wcześniej niektórzy mieszkańcy jeździli aż do Europy, głównie do Niemiec po zakup samochodu. Aktualnie o wiele bardziej się opłaca ściągnięcie samochodu z Władywostoku.

Kajaki nasze musieliśmy przенosić przez drogę do zalewu, gdzie był port, bowiem nie było żadnego wodnego połączenia. Na szczęście odległość ta wynosiła tylko ok. 50 m.

Wypłynęliśmy wieczorem z portu w Jakucku. Kiedy już byliśmy na wodzie przypomniałem sobie, że nie mamy żadnej wody do picia. Ludzie radzili nam, żeby od Jakucka nie brać żadnej wody do picia z rzeki. Jest ona bowiem brudna. Podpłynęliśmy więc do jakiegoś statku, który stał w porcie i poprosiliśmy o wodę. Jednak zastępca kapitana, który miał na imię Igor zaprosił nas na pokład statku na kolację. Przekazał nam dużo informacji na temat dalszej części Leny. Bosman zaś, stary wilk morski, opowiadał nam o swoich morskich przygodach. Na dalszą drogę dali nam dużo herbaty i mleka zagęszczanego w puszkach. Proponowali nam, że mogą nas podrzucić aż do Ałdanu. Odmówiliśmy im, bowiem pokonanie Leny w statku, choćby nawet małego odcinka nie jest naszym celem. Na pożegnanie przestrzegali nas, abyśmy byli bardzo rozważni w kajakowaniu na dalszej części Leny, bowiem na tym odcinku będzie bardziej przypominała morze, niż rzekę. Wspomnieli o sztormach, które sami tam widzieli. Statek ich, który liczy ok. 50 m długości i 10 m wysokości wiele razy stał zatrzymany przez te sztormy. Mówili, że fale przelewały się przez pokład bardzo obficie. Serdecznie się z wilkami morskimi pożegnaliśmy. Niesamowici ludzie.

Płynęliśmy dziś w sumie ok. 7,5 godz. Namiot rozbiliśmy na jakiejś wyspie za Jakuckiem.

## **15 VII 2003r (62°33'09N, 129°52'59E, 71 npm)**

Pagoda była słoneczna. Wy płynęliśmy na dalszy etap naszej podróży. Ruch statków na Lenie w tym regionie był bardzo duży. Parę razy musieliśmy uciekać bliżej brzegu, aby uniknąć kolizji, z „rakieta”. „Rakiety”- są to statki pasażerskie, napędzane silnikami o bardzo dużej mocy. Pływają bardzo szybko i robią duże fale. Na Lenie pływają one od miejscowości Ust-Kut.

Lena od Jakucka robi się coraz szerszą rzeką. Rzeczą uderzającą w jej krajobrazie są wyspy, których jest bardzo dużo.

Wieczorem gdy już słońce łagodnie zachodziło, płynąc między wyspami słyszeliśmy śpiew wielu gatunków ptaków. Przyroda tu jest niesamowita. Człowiek uczy się podziwu i szacunku dla Stwórcy tych cudów natury.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

## **16 VII 2003 r (63°09'56N, 129°39'38E, 65 npm)**

W dniu dzisiejszym pagoda była bardzo słoneczna. Płynęliśmy między wyspami, rozkoszując się piękną pogodą. Lena jest już bardzo szeroka. Nie widać drugiego brzegu, bowiem zakrywają go dziesiątki przeróżnych wysp.

Nurt rzeki na tym odcinku był różny. W niektórych miejscach był bardzo szybki, tak, że powodował odrywanie się dużych kawałków skarp od wysp. W innych zaś nurtu nie było.

Ok. południa mieliśmy spotkanie na wodzie z tutejszą policją. Było to na wysokości wioski Namtsy. Podpłynęła do nas motorówka z trójką ludzi. Jeden z nich przedstawił się i wyjął legitymację, aby uwiarygodnić swój zawód. Zapytał nas skąd i dokąd płyniemy. Skontrolował nasze dokumenty. Następnie zapytał, czy mamy wizy. Odpowiedziałem, że tak, chociaż mieliśmy tylko wizy AB. Według rosyjskiego prawa „innostrancy”- osoby z zagranicy powinny zameldować się i zarejestrować w odpowiednim miejscu w przeciągu trzech dni od wjazdu do Rosji. Na szczęście policjant ten nie był zbyt dociekliwy. Turyści należą w tych regionach do bardzo wielkich rzadkości. Na pożegnanie podał mi rękę i życzył „szczęśliwego” na dalszą podróż. Jestem pewny, że inaczej to spotkanie wyglądałoby z policją w Moskwie. Tamci policjanci nauczyli się już zerować na turystach i bez łapówki nie dogadałoby się z nimi.

Płynęliśmy dziś ok. 10 godz. Jutro, albo w Sangarze trzeba zrobić będzie jakieś większe zakupy, bowiem nie kupiliśmy dużo produktów spożywczych w Jakucku. Potem jedna wioska od drugiej są oddalone o 200, 300 km i do tego trudno do nich trafić, bowiem są pochowane za wyspami, albo leżą daleko od brzegu Leny.

## **17 VII 2003 r. (63°31'55N, 128°54'01E, 62 npm)**

Rankiem bardzo fajnie się płynęło. Nie było żadnego wiatru i bardzo mało gzów i komarów. Jedyнным mankamentem był duży upał. Słońce dość mocno przypiekało.

Ok. południa zjedliśmy na jednej z piaszczystych wysp obiad. Panorama nas otaczająca bardziej przypominała wyspy Bahama niż Syberię. Piaszczyste samotne wyspy, słońce na tle błękitnego nieba i ciepła woda Leny.

Po południu ujrzelśmy rzekę Ałdan, która wpada do prawego ramienia rzeki Leny. Krajobraz w tych miejscach bardziej przypominał jakieś południowe morze niż rzekę. Lena była tak szeroka, że nie widać było drugiego brzegu.

Pogoda po południu się zmieniła. Zaczął wiać dość silny północny wiatr. Powodował on fale, które zmieszane z prądem rzeki były ciężkie do płynięcia.

Wieczorem wiatr trochę przycichł. Płynąc w kajaku podziwiałem piękny otaczający mnie świat. Przepiękny zachód słońca, szum wiatru i fal i dziesiątki dzikich wysp. Świat codzienny szary nie istniał. Człowiek czuł się w tym wszystkim, jakby zanurzony w innej rzeczywistości, bliższą nieba. Czy słowa to wyrażą?

Płynęliśmy ok. 10 godz.

## **18 VII 2003 r. (63°51'04N, 127°41'42E, 60 npm)**

Dzień dzisiejszy był bardzo upalny. Temperatury były tropikalne. Z całą pewnością dużo powyżej 30° C. Gorąca powłoka unosiła się nad wodą przesłaniając prawie cały horyzont. Teren stał się bardziej dziki. W ciągu całego dnia widzieliśmy tylko jedną motorówkę, żadnej wioski. Wyspy leżące na tym odcinku Leny stały się większe. Wewnątrz ich rosną modrzewiowe lasy. Trudno je rozróżnić od brzegów Leny. Wcześniej wyspy mijane przez nas były w większości krzewiaste. Łatwo więc można było rozróżnić, czy się znajdujemy na wyspie czy łądzie. Teraz nie wiemy czy widzimy brzeg Leny, czy też wyspę. W trakcie płynięcia towarzyszyły nam duże ilości atakujących nas gzów. Bawiliśmy się więc od czasu do czasu zabijając spragnione naszej krwi duże muchy. Ciekawe, że po uderzeniu ręką wcale nie były one zabite. Trzeba było zmiażdżyć muchę, aby być pewnym, że znowu nie zaatakuje.

Pod wieczór naszym oczom wyłoniły się Góry Wierchojońskie. Zaczął też wiać dość silny wiatr z południowego-wschodu. Wykorzystaliśmy więc sprzyjający dla nas wiatr wiosłując i będąc popychani przez niego i fale. Fale były duże. Przypominały bardziej morskie fale niż rzeczne. Niestety po ok. dwóch godzinach wiatr się skończył. O godz. 2.00 w nocy rozbiliśmy namiot na jakiejś piaszczystej wyspie.

Płynęliśmy ok. 10 godz. Mamy już nie dużo kilometrów do Sangaru. Musimy koniecznie w tym mieście kupić dużo produktów do jedzenia, bowiem do następnej „większej” miejscowości- Żigańska mamy ok. 600 km. Po drodze zaś tylko dwie, albo trzy wioski, które i tak ciężko będzie znaleźć, bo albo są oddalone daleko od brzegów Leny, albo schowane za wyspami.

## **19 VII 2003 r. (64°01'17N, 127°18'14E, 54 npm)**

Do Sangaru płynęliśmy ok. 1,5 godz. Jest on położony na prawym brzegu Leny, za górą i skalistą ścianą. Baliśmy się, żeby go przypadkiem nie ominąć, bowiem nasze zapasy jedzenia były już na wyczerpaniu, a przed nami był do przebycia prawie 600 km bezludny odcinek. Sangar w pierwszym wzrokowym kontakcie przypominał małe miasteczko po bitwie. Bardzo dużo wałących się domów i unoszące się dymy nad miastem. W Sangarze mieszka obecnie ok. 4 tys. ludzi. W czasach komunizmu, kiedy miasto to przeżywało swój rozkwit liczyło ok. 10 tys. mieszkańców.

W jednym ze sklepów spożywczych Sangaru zrobiliśmy duże zakupy. Kierownik sklepu widząc ilość naszych zakupów zaoferował nam nawet pomoc w dostarczeniu ich swoim samochodem dostawczym do brzegu, gdzie stały kajaki. Po wypakowaniu naszych zakupów kierownik zaproponował mi małą wycieczkę. Na początku pojechałem z nim do jego „letników”- magazynów chłodni. Były to wykopane w skale na wzgórzu długie korytarze z pobocznymi pokojami. Miały one długość ok. 100 m. Kierownik przetrzymywał w nich swoje produkty na sprzedaż. Były tam różnego gatunku ryby, zabite jelenie, renifery, świnie itp. artykuły. Temperatura na zewnątrz była ok. 30° C, zaś w środku w „letniku” ok. -16° C. Na tych szerokościach geograficznych nie używa się lodówek, bowiem w ziemi panuje wieczna zmarzlina. Następnie kierownik poczęstował mnie obiadem. Dawno już nie jadłem normalnego obiadu, więc skosztowałem go z wielką przyjemnością. Po obiedzie kierownik zabrał mnie do byłej bazy wojskowej, która była oddalona od miasta o jakieś ok. 20 km. Pokazał mi potężne wojskowe anteny, które były zwalone przez ludzi rok temu. Był to niezły widok. Złomowisko wież, których wysokość przed zwaleniem wynosiła ok. 60 m. Kierownik objaśnił mi, że do niedawna jeszcze Sangar był miastem „zakrytym”. Jeśli, ktoś chciał tu przyjechać musiał wcześniej uzyskać specjalną przepustkę.

Po pożegnaniu się z kierownikiem, kiedy wróciłem do kajaków spostrzegłem policjantów, którzy rozmawiali z Tomkiem i Piotrkim. Podszedłem i przywitałem się z nimi. Policjanci byli jacyś „nie rosyjscy”, nie kontrolowali nas, nie spisywali, czy też wypytywali. Widać było, że byli ciekawi po ludzku, takich nietypowych turystów. Opowiadaliśmy im o naszej wyprawie i przygodach, które mieliśmy. Zapytali nas czy posiadamy broń. Pokazałem im nasz mały pistolecik straszak na niedźwiedzie. Roześmiali się. Na moje pytanie o niedźwiedzie odpowiedzieli, że jest ich tutaj, a tym bardziej dalej bardzo dużo. Są one wszędzie, są nawet na wyspach Leny. Chciałem poczęstować policjantów piwem, ale powiedzieli, że są na służbie, więc poczęstowałem ich cukierkami i pożegnaliśmy się serdecznie.

Potem poznaliśmy Mikołaja i Wanię. Mikołaj opowiadał mi, a prawdopodobnie „bajerował” o 10 miesięcznej podróży odbytej przez niego w 2000 r wraz ze swoją żoną i małym synkiem. Podróżowali na motorówce, do której dorobił on kabinę i maszt na żagle wzdłuż Leny, Morza Lapitiewa, rzeki Jany i Kołomy. Na moje pytanie czym się żywili? Odpowiedział że głównie rybą i zwierzętami na które on polował. Mikołaj udzielił nam bardzo dużo informacji na temat dalszej części Leny, która była do pokonania przed nami. Mówił, że wódka na dalekiej północy ma dużą wartość. Za litr wódki można kupić broń. Radził, aby z Jakutami nie pić wódki, bowiem po wypiciu dużej ilości częste są u nich bójkę na noże. Odnośnie wioski do Żigańska Mikołaj mówił, że są bardzo oddalone od brzegu, nawet do 20 km. Pokazał nam na mapie miejsca, gdzie mogą znajdować się rybacy. Statek „rakietka” pływa tylko do Sangaru. Dalej mówił Mikołaj, że już „rakietki” nie zobaczymy. Odnośnie pogody powiedział, że wszystkiego dalej możemy się spodziewać, nawet śniegu. Mikołaj i Wania dali nam w prezencie tutejszy sprzęt do łowienia ryb i dużo porad, gdzie i jak najlepiej wędkować. Zapraszali nas bardzo nachalnie do wioski przed Sangarem, w której mieszkali. W wiosce tej mieszkają tylko cztery rodziny. Bardzo chcieli nas ugościć u siebie. Strasznie niezręcznie było nam odmówić na ich zaproszenie, tym bardziej, że zaczął wiać silnie północny wiatr, który powodował niezłe fale. Nie wiedziałem, jak wybrnąć grzecznie z

tej sytuacji. Nie chciałem ani ja ani chłopcy cofać się 4 km do tyłu i ryzykować podczepiania kajaków do ich motorówki. Wypiliśmy więc z nimi trochę wódki przy kajakach.

Kiedy siedzieliśmy na brzegu przyjechała znowu policja. Pewnie dbali o nas i nie chcieli, aby coś złego stało się nam w ich mieście. Porozmawiałem z nimi trochę. Jeden z policjantów zaproponował mi kupienie za 100\$ broni palnej. Nie była to jakaś oferta kupiecka chcącego zarobić na nas pieniądze, ale przychylna propozycja. Posiadanie broni palnej tu w tak dzikich terenach jest czymś normalnym. Dzięki niej człowiek może przetrwać w tajdze. Odmówiłem jednak kupienia.

Wieczorem, kiedy już tak mocno nie wiało wypłynęliśmy. Nieźle jeszcze nas huštało na falach.

Płynęliśmy dziś w sumie ok. 5 godz.

## **20 VII 2003 r.**

Rano wiał dość silny północny wiatr. Mimo jednak sztormowych warunków wypłynęliśmy. Płynęliśmy jednak tylko 2,5 godz. Wiatr wiał tak silnie, że bardzo wolno poruszaliśmy się do przodu, prawie staliśmy w miejscu. Fale również zaczęły robić się niebezpieczne. W wiosłowanie trzeba było wkładać bardzo wiele siły, a efekt tego w poruszaniu się do przodu był bardzo marny. Zatrzymaliśmy się więc na jakiejś wyspie, aby przeczekać te trudne warunki do płynięcia. Na postoju nie marnowaliśmy czasu. Zabraliśmy się za remonty. Stary kajak należało trochę podkleić, bo zaczęła wchodzić do niego woda. Drugim zajęciem zaś było zszywanie butów, bowiem wszystkim nam zaczęły się one porządnie rozlatywać. W trakcie zszywania butów każdy z nas połamał trochę igrze.

Wieczorem siła wiatru trochę zmalała, wobec czego wyruszyliśmy na wodę. Płynęliśmy do 23.30 godz.

Zauważyłem, że krajobraz nas otaczający był w dniu dzisiejszym mimo wiatrów przesłonięty przez dymy tajgi. Lasy na tym terenie płonęły. W związku z tym nie można było podziwiać w pełni Gór Wierchojońskich. Na szczęście nie było muszki, za to były duże ilości komarów. Teren w który wpływamy jest naprawdę dziki. Tu króluje przyroda, człowiek czuje się wobec niej bardzo mały. Dziękuję Bogu za to, że tu jestem. Wierzę, że Jego Opatrzność czuwa nad nami.

Płynęliśmy dziś ok. 5 godz.

## **21 VII 2003 r. (64°46'08N, 125°25'47E, 49 npm)**

Wypłynęliśmy ok. 11.00 godz. W trakcie płynięcia po prawej stronie widać było Góry Wierchojońskie. Choć nadal były one przysłonięte przez dymy tajgi. Temperatura powietrza była powyżej 30°C. Nie było żadnego wiatru. W takich warunkach atmosferycznych towarzyszyły nam ogromne ilości gzów. Konieczną zabawą stało się więc ich zabijanie podczas wiosłowania. Tną bowiem bardzo porządnie, powodując krwawiące rany. Zabijaliśmy je najczęściej poprzez wyrywanie im na żywca skrzydeł. Ból za ból, krew za krew. Człowiek w tajdze wcale nie czuje się panem stworzenia, albo jakimś wyróżnionym wśród stworzeń. Gzy tak samo tną inne zwierzęta, jak i człowieka. Tu wszystkie akademickie filozofie szybką schodzą z marzycielskich logicznych idei na twardą realność istnienia, której prawdziwość potwierdza krew lejąca się z rany.

O godz. 17.30 zabłądziliśmy wpływając na jedną z odnóg Leny, która okazała się ślepa drogą. Na szczęście w porę się spostrzegłem i zawróciłem do punktu, który wprowadził nas w „maliny”. Cały incydent zajął nam dwie godziny.

Wieczorem podpłynęła do nas motorówka. Byli to strażnicy parku krajobrazowego, który znajduje się w tym regionie Leny. Zapytałem ich o niedźwiedzie. Odpowiedzieli, że jest ich bardzo dużo, ale, że my nie powinniśmy się obawiać, bowiem o tej porze są już syte.

Skończyliśmy kajakowanie o 2.00 w nocy. Namiot rozbiliśmy na jakiejś dzikiej wyspie. Rozpaliliśmy też na noc duże ognisko, aby nie odwiedził nas jakiś ciekawski niedźwiadek. Staramy się bowiem zawsze w miejscach wyglądających na dzikie rozpalać na noc ognisko. Zwierzęta podobno boją się ognia i z daleka wyczuwają dym z ogniska.

Płynęliśmy dziś ok. 14 godz.

## **22 VII 2003 r. (65°08'11N, 124°39'48E, 41 npm)**

Dość późno wypłynęliśmy. Pogoda była dobra. W trakcie płynięcia dymy powoli zaczęły się zmniejszać i ilość gzów, wokół nas. Nurt rzeki był w miarę szybki. W czasie popołudniowego postoju widziałem w tajdze niedaleko brzegu bardzo dużo śladów różnych zwierząt. Było też parę śladów niedźwiedzich. Zaczęliśmy też próbować łowić ryby. Wpadłem na pomysł, aby ciągnąć za kajakiem żyłkę z przynętą- małą rybką. Niestety nic na ten sposób wędkowania nie chwyciło. Teren był bardzo dziki. Żadnych śladów ludzi. Nie widzieliśmy dziś na wodzie żadnej jednostki wodnej.

Płynęliśmy dziś ok. 7 godz.

## **23 VII 2003 r. (65°44'38N, 124°18'37E, 39 npm)**

Rano zaczął wiać z południa dość silny wiatr. W związku z tym bardzo fajnie było pakować rzeczy do kajaków, bowiem nie było spragnionych naszej krwi żadnych komarów, gzów itp. Płynęliśmy w warunkach sztormowych. Na szczęście wiatr mieliśmy nie w twarz, ale w plecy. Fale były dość duże. Wiele wody wchodziło w czasie płynięcia do kajaków. Najgorsze były do pokonywania miejsca, w których woda „kipiała”. Miejsca te tworzyły się poprzez mieszanie się różnych prądów wodnych z wiatrem. Te sztormowe warunki mieliśmy tylko przez pierwsze cztery godziny płynięcia. Po południu wiatr zaczął powoli słabnąć i wieczorem całkowicie zanikł.

Teren na którym przebywamy jest naprawdę dziki. W dniu dzisiejszym nie widzieliśmy żadnej jednostki wodnej.

Płynęliśmy ok. 9 godz.

## **24 VII 2003 r. (66°07'43N, 123°55'33E, 37 npm)**

Dzień dzisiejszy był bardzo upalny. Temperatura pewnie dochodziła czasami do ok. 40° C. Powietrze było bardzo wilgotne i mało przejrzyste. Brak wiatru. W powietrzu unosiło się bardzo dużo wszelkiego rodzaju insektów: gzów, komarów i muszki. Szczególnie gzy uwzięły się na nas, atakując naszą odkrytą skórę. Co chwila trzeba było zabić ich parę, bo cięły nawet przez ubranie. Wyrywaliśmy więc od czasu do czasu jakiemuś pechowemu gzu skrzydełka, aby chociaż w ten sposób zemścić się za nasze męczarnie. Nie zrozumie pewnie nikt takiego odreagowania, kto nie był na Syberii w towarzystwie ogromnej ilości krwawych gzów. Człowiek dla gzów jest tylko pokarmem. Muchy te sprowadzają wszystkie refleksje filozoficzne o wyjątkowości człowieka we wszechświecie na właściwe miejsce. Czy też myślenie o celowości przyrody ma sens? Po co Bóg stworzył takie paskudztwa?

Upały dnia dzisiejszego sprawiały, że dość często zanurzałem się w wodzie. Woda w rzece była bardzo ciepła. Dawała ochłodę i chwilowo zabezpieczała od wściekłych gzów. Te częste bardzo krótkie kąpiele robię już od paru dni. Są to krótkie chwile wytchnienia.

Postanowiłem, że w dniu dzisiejszym musimy spróbować złapać jakąś rybę. Wypatrzyłem więc na popołudniowy obiadowy postój bardzo dobre do tego miejsce. Znalazłem na lewym brzegu Leny w tajdze bardzo małą rzeczka. Na początku postawiliśmy siatkę wzdłuż rzeczki. Ja naganiałem, uderzając gałązkami o wodę, ryby do siatki. Jednak rezultaty tego były marne. W siatce były tylko dwie rybki. Potem Piotrek próbował na spinning, ale też bez rezultatu. W końcu przez przypadek dostrzegłem małe rybki, które próbowały dostać się z małej rzeczki do Leny przez bardzo płytkie ujście o szerokości może ok. 1,5 m. Zacząłem z Tomkiem łapać te ryby rękoma. W celu skuteczniejszego łapania położyliśmy belkę drewnianą w poprzek ujścia małej rzeczki. Ryby łapaliśmy czym się dało rękoma, stopami, skacząc na nie. Piotrek i ja spróbowaliśmy parę razy rzutu spinningu do Leny w miejscu, gdzie wpadała ta mała rzeczka. Niestety ryby połykające haczyk były tak silne, że sprzęt wędkarski nie wytrzymał. Mi pękła żyłka podczas holowania jakiejś dużej ryby, a Piotrkowi jakaś duża ryba odgryzła cały haczyk. Na szczęście w Sangarze Mikołaj i Wania dali nam dwie rzutki, z bardzo grubymi żyłkami i porządnymi haczykami. Szybko więc przerobiliśmy je do wędkowania na te duże ryby. Odcieśliśmy ołów i haczyki powiązaliśmy podwójną żyłką. Następnie zakładaliśmy przynętę na haczyk- małą rybkę i rzucaliśmy ją do Leny w miejscu gdzie wpadała do niej ta mała rzeczka. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Potężne szczupaki wyciągaliśmy co chwila na brzeg. W bardzo krótkim czasie nałapaliśmy cały worek ryby, ok. 40 kg. Dalej nie chcieliśmy łapać, bo stwierdziliśmy, że tej co jest nie zjemy szybko. Takiego wędkowania, to jeszcze nie miałem nigdy w swoim życiu.

Nocą rozbiliśmy się na jakiejś wyspie. Postanowiliśmy, że rano obierzemy rybę, bowiem byliśmy zmęczeni a na dodatek gryzły nas miliony komarów. Baliśmy się trochę, że jakieś niedźwiedzie mogą nas odwiedzić, bowiem mają one świetny węch. Ryba zaś jest świetną przynętą, zwłaszcza kiedy zaczyna śmierdzieć. Rozpaliliśmy więc duże ognisko w miejscu naszego biwakowania. Powietrze było pomimo nocy tropikalne, bardzo wilgotne i ciężkie. Kto by uwierzył, że koło koła podbiegunowego mogą być temperatury jak w tropiku. Przydałoby się trochę zimna i wiatru.

Płynęliśmy ok. 7 godz.

Nocą i nad ranem wychodziłem, aby podłożyć do ogniska. Robię to zawsze, kiedy rozpalamy ognisko na noc. Zazwyczaj bez podkładania drzewo pali się ok. 3 godz. Receptura, która motywuje mnie do wychodzenia z namiotu nocą i czasami nad ranem jest zawarta w wypijaniu większej ilości napojów przed snem. To taki niezawodny naturalny budzik.

## **25 VII 2003 r. (66°24'27N, 123°38'54E, 28 npm)**

W dniu dzisiejszym od samego rana temperatura była tropikalna. Wynosiła pewnie ok. 40°C. Rano uciekliśmy z wyspy na której biwakowaliśmy z powodu dużej ilości komarów. Znaleźliśmy lepsze miejsce do obrania ryby i napchania żołądków wczoraj złapaną rybą. Smażyliśmy na ognisku potężne kawałki szczupaków i pochłanialiśmy jej kilogramy. Ja szczególnie nie byłem nasycony, jadłem i jadłem. Sam się sobie dziwiłem, że potrafię tyle zjeść. Zauważyłem też nie daleko naszego ogniska na skarpie dużo krzaków „smrodziny”- dzikich czerwonych porzeczek. Wzięliśmy się więc jak niedźwiedzie do pożerania z krzaków dzikiej czerwonej porzeczki. „Smrodzina” była świetnym urozmaiceniem smaku po rybie, jak i dodatkową dawką witamin. Po królewskiej uczcie z nowym zapałem wyruszyliśmy na dalszy podbój Leny.

Po południu w trakcie płynięcia dostrzegłem na jednej z wysp człowieka i motorówkę. Podpłynęliśmy do niego i zaczęliśmy rozmawiać. Nieznajomy mówił, że jest Ewenkiem. W trakcie płynięcia z Żigańska do domu coś się stało z silnikiem w motorówce. Podpłynął więc na wiosłach do jakiejś najbliższej wyspy i czekał na kogoś, kto mógłby mu pomóc. Na wyspie jest już drugi dzień. Mówił, też że już spotkał przypadkowo kogoś na rzece, kto sprowadzić ma mu jakąś pomoc. Zapytaliśmy go czy nie potrzebuje jedzenia. Odpowiedział, że jeszcze trochę ma. Wyczułem jednak, że głupio jest mu bezpośrednio prosić o jedzenie. Dałem mu trochę naszych produktów spożywczych. On dał nam kilogram soli, którą zresztą bardzo potrzebowaliśmy, bowiem nasza ryba zaczynała powoli cuchnąć.

Wieczorem znowu objadaliśmy się rybą. Kilogram za kilogramem był pochłaniany przez nasze żołądki.

Płynęliśmy ok. 7 godz. Jutro jeśli warunki będą dobre, to być może będziemy w Żigańsku.

## **26 VII 2003 r. (66°35'50N, 123°30'33E, 32 npm)**

W dniu dzisiejszym przekroczyliśmy koło podbiegunowe. Niestety mieliśmy dość silny sztorm i plany dotarcia do Żigańska się rozwiały. Wiatr wiejący z północy prosto w twarz powodował bardzo nieciekawe do pokonywania fale. Wysokość ich w niektórych miejscach dochodziła do ok. 2 m, ale były one nieregularne i bardzo ostre, niczym pionowe ściany wody. Te kształty fal były efektem połączenia prądu rzeki z wiatrem, który wyrzucał prąd rzeczny do góry. Woda prawie kipiała i trudno było w falach znaleźć czasami jakąś regularność. Były dość trudne do pokonywania. Płynęliśmy bardzo niedaleko brzegu z prędkością ok. 2 km/h. Bardzo dużo wody weszło do środka kajaków. Szczególnie do kajaka Tomka i Piotrka. Tomek, który płynął na przednim miejscu w kajaku był całkowicie mokry od wody.

Płynęliśmy w takich sztormowych warunkach 6 godz.

Namiot postawiliśmy na skalnym wybrzeżu na lewym brzegu Leny. Na kolację miałem nadzieję znowu opchać się rybą, bo byłem głodny. Niestety ryba zaczęła już nieźle cuchnąć od rozkładającego się mięsa. Zjadłem więc tylko kawałek, który popiłem wódką, aby się nie zatruć. Resztę ryby z wielkim żalem wyrzuciłem do rzeki. Jutro jeśli warunki atmosferyczne pozwolą będziemy w Żigańsku.

Człowiek w czasie wyprawy wiele myśli o różnych rzeczach, może spojrzeć na swoje życie z innej perspektywy. Wyprawy są świetnym oderwaniem się od świata, który zostawiło się za sobą. Tu człowiek zaczyna żyć w nowej rzeczywistości.

## **27 VII 2003 r. (67°58'39N, 123°22'41E, 37 npm)**

Rano pogoda była słoneczna. Kiedy wypłynęliśmy zaczął wiać leciutki wiaterek z południa. Płynęliśmy cały czas koło lewego brzegu Leny, w którego krajobrazie od wczorajszego popołudnia pojawiły się skaliste klify. Na brzegu widać było raz po raz rozbite namioty mieszkańców Żigańska, którzy łapali ryby. Po ok. godzinie płynięcia wiatr zaczął wiać porządniej. Nie był jednak na tyle niebezpieczny, aby zaraz uciekać do brzegu. Nie chciałem zresztą płynąć blisko brzegu, bowiem musiałbym zatrzymywać się często na rozmowy z wędkarzami. Jednak i tak podpłynęła do mnie jakaś motorówka. Ludzie siedzący w niej radzili mi płynąć bliżej brzegu, bowiem zaczynało już trochę falować. Odpowiedziałem, że nie jest jeszcze tak źle, a kajak to bezpieczny sprzęt wodny na fale.

Żigańsk jest położony na lewym brzegu Leny. W wiosce tej zrobiliśmy małe zakupy. Najgorsze, że nie mogliśmy nigdzie dostać chleba, bowiem była Niedziela. Jeden bochenek dała nam stara Jakutka, którą przypadkowo spotkaliśmy. Opowiedziała nam trochę na temat życia w Żigańsku. W całym regionie Żigańskim mieszka tylko ok. 5 tys ludzi. Jakutka mówiła, że Żigańsk jest też ostatnim miejscem, gdzie jest obchodzone święto Yaesach w Jaukcji. Jest ono obchodzone tu 12 lipca. Jest to największe święto w kalendarzu Jakutów. Jest to święto lata, słońca. Wszyscy mieszkańcy Jakucji po nim idą w sianokosy, aby zaopatrzyć zwierzęta domowe w pokarm na zimę. Święto to jest obchodzone w różnych dniach w różnych miejscowościach Jakucji. W stolicy Jakucji obchodzi się je ok. 22 czerwca. Dzień obchodzenia wiąże się prawdopodobnie z szerokością geograficzną. Zapytałem Jakutkę jeszcze o pogodę w Żigańsku. Odpowiedziała, że zawsze tu wieją straszne wiatry. Rzadkością jest brak wiatru. Najczęściej wieją wiatry z północy. Sztormy na Lenie są bardzo niebezpieczne, każdego roku, ktoś się topi.

Przypadkowo spotykanych ludzi na brzegu Leny pytaliśmy o turystów. Czy często spotkać ich można w tych regionach? Czy pamiętają kogoś, kto płynąłby wcześniej Leną na „bajdarkach”, lub czymś innym. Wszyscy odpowiadali, że jesteśmy pierwszymi turystami wodnymi w tych regionach. Ludzie wspominali też o niemieckich turystach, którzy płyną po Lenie prawie każdego lata, ale dodali, że oni płyną na ogromnym pasażerskim statku.

Kiedy wyruszyliśmy z Żigańska południowy wiatr wiał już dość potężnie. Ciężko było wyruszyć z brzegu na wodę. Fale wchodziły do wnętrza kajaków, mimo wszelkich zabezpieczeń z góry. Marynarze stojący na pokładzie jakiegoś statku zakotwiczonego koło brzegu patrzyli na nas, jak na samobójców. Ten południowy sztorm był dość mocny, jak na kajaki. Miałem dużo wody w kajaku. Tomek i Piotrek pewnie jeszcze więcej. Płynęliśmy w takich warunkach ok. 4 godz.

Następnie postanowiłem zrobić krótką przerwę. Wyprzedziłem trochę chłopaków i w oczekiwaniu na nich rozpałem ognisko i zagotowałem wodę na herbatę. Kiedy przyплыли i zaczęliśmy jeść dało się zauważyć, że dym z ogniska zmienił swój kierunek. Raptownie uderzył w nas silny północny wiatr. Po ok. 2 minutach były już białe grzywy na wodzie nadchodzące z północy. Po następnych 2 minutach fale już miały wysokość ok. 2 m, a po następnych minutach ok. 3 m. Lena przypominała bardziej sztormowe morze niż rzekę. Było to spowodowane między innymi tym, że Lena w tych regionach płynie w miarę prosto, wobec czego fale mają duże możliwości, aby się rozhuścić do morskich rozmiarów. Temperatura

powietrza bardzo szybko spadła. Zrobiło się zimno. Siła wiatru była ogromna. Wiosło i poduszkę Piotrka poniósł wiatr. Trzeba było szybko za nimi gnać, aby je złapać. Na łódzie zaś rozpełtała się prawdziwa burza piaskowa. Klify koło Leny są piaskowe a wiatr porwał miliony ziarenek piasku w powietrze. Widoczność była ograniczona przez fruwały piasek, który przypominał zamieć śnieżną. Kajaki wnieśliśmy bardzo daleko na brzeg, aby nie porwały je uderzające z coraz większym hukiem fale. Tu nie było już mowy o dalszym płynięciu. Namiot rozbiliśmy na jakiejś skarpie daleko od brzegu Leny, gdzie najmniej wiało.

To, co nas zadziwiło, to raptowność zmiany pogody. Nigdy w życiu nie widziałem tak szybkiej zmiany południowego sztormu na północny. Miejscowi ludzie ostrzegali nas przed północnymi sztormami. Rzeczywiście to nie były żarty. To, co widzieliśmy, to był porządny „morski” sztorm. Wszystkie sztormy, które widzieliśmy do tej pory na tej wyprawie były niczym w porównaniu z tym.

W nocy zaczęło błyskać i grzmieć. Potem przyszedł bardzo obfity deszcz. Wiatr targał wściekle naszym namiotem. Bałem się, że nie wytrzyma. To, co widzieliśmy, to był naprawdę imponujący żywioł. Północny sztorm- potężnie wiejący arktyczny wiatr, huk rozbijających się na brzegu trzy metrowych grzyw fal, potoki wody lejącej się z ciemnych chmur i grzmoty piorunów.

Płynęliśmy dziś w sumie ok. 7 godz.

## 28 VII 2003 r.

W nocy padał bardzo obfity deszcz i wiał z północy silny wiatr. Obudziłem się ok. 4.00 nad ranem z powodu zimna. Sprawdziłem pobieżnie stan namiotu. Deszcz wciąż padał, zaś pod namiotem utworzyła się rzeczka. Strumień zimnej wody płynął pod nami. To on był głównym sprawcą zimna, które mnie przenikało na wylot. I jak by tego było mało wiał wiatr z północy, a ja leżałem w namiocie dokładnie po stronie północnej. Ubrałem się więc porządnie i pod śpiwór podłożyłem worek żeglarski oraz zimową kurtkę, aby zrobić lepszą izolację od ziemi. Na wyprawę nie wzięliśmy żadnych karimat ani materaców.

Około 6.00 nad ranem deszcz przestał padać, ale wiatr wiał jeszcze mocniej. Lena była prawie całkowicie pokryta pyłem wodnym i słychać było huk fal. To był imponujący widok. Pewnie było koło 12 w skali Beuforta. Nie było żadnej mowy o jakimś płynięciu w kajakach. Spaliśmy więc ile się dało.

Po południu zrobiliśmy sobie obiad. Na początku wzięliśmy do gotowania wodę z Leny, ale po zrobieniu herbaty z niej czuło się w ustach więcej mułu niż herbaty. Wpadliśmy więc na pomysł wzięcia wody z deszczu, która zalegała obficie w naszych kajakach. Była ona o wiele czystsza od wody rzecznej.

Ok. godz. 23.00 zbudziło nas dwóch Jakutów. Spaliśmy już smacznie w namiocie, kiedy usłyszeliśmy jakieś głosy na zewnątrz. Wyjrzałem z namiotu. Stali tam dwaj Jakuci. Byli ciepło ubrani z nałożonymi na siebie nawet kamizelkami ratunkowymi. Byli bardzo zdziwieni naszą obecnością tutaj, tak samo pewnie, jak my ich. Na początek poprosili nas o papierosy. Choć nikt z nas nie pali wzięliśmy je jednak na wyprawę, aby czasami móc się zrewanżować tutejszym ludziom za jakąkolwiek pomoc. Daliśmy im papierosy i zaczęliśmy rozmawiać. Mówili, że parę dni temu pojechali motorówką na ryby ok. 110 km od Żigańska na północ Leny. Zaskoczył ich jednak niespodziewanie ten północny sztorm. Zostali więc zmuszeni do nieplanowanego dłuższego biwakowania. Jeden z Jakutów mówił, że na środek ma kupiony bilet lotniczy z Żigańska do jakiejś małej wioski, w której mieszka. Wyruszył więc z kolegą brzegiem Leny, aby piechotą dojść do Żigańska. Do przejścia zostało im jeszcze ok. 40 km. Następnie opowiedziałem im o naszej ekspedycji. Ile dni już płyniemy, i że

chcemy dotrzeć do Tiksi. Jakuci byli pod wrażeniem. Powiedzieli, że pierwszy raz w swoim życiu widzą takich „ekstriemalów”. Nigdy nie widzieli, ani nie słyszeli, aby ktoś w kajaku, albo innym sprzęcie wiosłowym płynął całą Lenę od ujścia aż do Tiksi. Zapytałem ich czy nie są głodni, czy nie potrzebują jakichś produktów na dalszą drogę. Odpowiedzieli, że nie. Odnośnie sztormów z północy powiedzieli nam, że trwają one najkrócej 3 dni, jeśli nie przechodzą, to 6, 9 lub 12 dni. Pożegnaliśmy się serdecznie. Ja ruszyłem do namiotu a oni do Żigańska wśród wyjącego sztormu i chłodnego wiatru. Bardzo fajnie wyglądali, grubo ubrani w co się da. Jeden z nich niósł w ręku czajnik.

## **29 VII 2003 r. (67°22'57N, 123°09'29E, 27 npm)**

Rano nadal był sztorm. Wiatr silnie wiał i rzeka była pokryta ostrymi białymi grzywami fal.

Ok. godz. 15.00 siła wiatru zaczęła powoli słabnąć, jednak nadal warunki nie były dobre aby wyruszyć.

Wyruszyliśmy o godz. 19.00. Płynęliśmy bardzo blisko brzegu, bowiem nadal były duże fale i wiał silny wiatr w twarz. Poruszaliśmy się wolno, ale najważniejsze, że płynęliśmy do przodu. W trakcie płynięcia minęły nas parę razy statki na których pokładzie znajdowały się motorówki rybaków, których zaskoczył ten silny północny sztorm.

Ok. godz. 23.00 podpłynęliśmy do brzegu, gdzie stały rozbite „pałatki”- namioty rybaków. Było nam bardzo zimno. Na brzegu rybacy Jakuci szykowali się do wyruszenia na motorówkach w celu wyjęcia sieci z wody. Gdy nas zobaczyli podeszli do nas i pomogli wyciągnąć kajaki na brzeg. Zaprośili nas na „czaj” i zupę rybną. Cały ich obóz liczył ok. 15 ludzi. „Hazjajką”- gospodarzem, dowódcą tego obozu była stara Jakutka. Namioty ich były rozbite na lewym brzegu Leny na piaszkowym wybrzeżu. Lena w tym miejscu była już relatywnie wąska, miała ok. 5 km szerokości. Widać było dobrze jej drugi brzeg.

W dużym namiocie, do którego weszliśmy stał przenośny rosyjski piecyk do gotowania. Na podłodze było mnóstwo różnorodnych skór, które służyły pewnie do spania. Do namiotu weszli wszyscy Jakuci, którzy byli w obozie. Poczęstowali nas zupą rybną, która składała się mieszanki wszystkich gatunków ryb przez nich łapanych. Gorąca zupa była bardzo smaczna, do tego w namiocie było ciepło. Rozmawialiśmy na różne tematy. Jakuci oczywiście pytali nas o szczegóły naszej ekspedycji kajakowej: skąd, dokąd, ile dni już płyniemy, itp. Ja pytałem ich też o wiele rzeczy. Mówili, że biwakują tu całe lato, łapiąc cały czas rybę w sieci. Potem część jej sprzedają a resztę zostawiają dla siebie do jedzenia. Trzech z rybaków było nauczycielami. Pensja w szkole jest trochę mała, więc dorabiają sobie „rybałką”- łapaniem ryb. Jeden z nauczycieli opowiadał nam o historii i kulturze Jakutów. Mówił on, że Jakuci byli kiedyś dobrymi wojownikami w armii Czingis-hana. Jednak z jakiegoś nieokreślonego powodu zbuntowali się i uciekli na północ Syberii. Jako ciekawostkę nauczyciel powiedział nam, że nie było i nie ma żadnego ludu oprócz Jakutów, któryby przystosował zwierzęta domowe do życia tak daleko na surowej północy. Jakut zwrócił również uwagę, że na północy na Lenie oprócz Jakutów mieszkają także inne ludy, takie jak Ewenka czy też Ewenki. Ludy te mają swoje własne języki i religie. Obecnie jednak nastąpiło takie wymieszanie tych narodów, że trudno jest powiedzieć, kto jest kim. Zapytałem też rybaków, czy nie widzieli może wcześniej kogoś kto płynąłby jak my po Lenie na kajakach lub innej łodzi wiosłowej. Odpowiedzieli, że nie. Dodali, że jesteśmy pierwszymi „których” oni widzą. Nikogo wcześniej nie widzieli, choć łapią rybę w tym miejscu Leny już od bardzo wielu lat, przez cały sezon letni, bardzo często wyjmując sieci niezależnie od pory dnia. Jeden z rybaków wspominał, tylko, że słyszał o wyprawie Jacka Pałkiewicza na biegun zimna.

Zapytałem rybaków, gdzie można kupić chleb, bowiem w Żigańsku nie udało się nam tego zrobić. Rybacy powiedzieli nam o możliwości kupienia go ze statku, który pływa raz na dziesięć dni z Jakucka do Tiksi. Statek ten ma za parę godzin być w tych regionach. Zatrzymuje się on na drugim brzegu Leny w jakimś miejscu. Na statek ten będą oczekiwać też ludzie z wioski Kystatym. Pożegnaliśmy się serdecznie z dobrymi Jakutami i wyruszyliśmy na wodę.

Było bardzo zimno i nadal wiał chłodny wiatr. Nie było zbyt ciemno, bowiem na szerokościach geograficznych tych regionów w ciągu lat noc jest jasna. Obraliśmy kurs nie bezpośrednio na drugi brzeg, lecz pod kontem na skalny klif, który był od nas oddalony o jakieś 15 km. W trakcie płynięcia wiatr zwiększył siłę i pojawiły się ok. 2 metrowe pionowe fale. Mimo zabezpieczeń z góry woda przelewała się przez plandeki i wchodziła do środka kajaków. Kajak Tomka i Piotrka był silnie miotany przez te niebezpieczne fale. Myślałem żeby utrwalić te chwile na kamerze, ale warunki były zbyt niebezpieczne do kręcenia, za bardzo bujało mną i za dużo wody lało się z góry. Chłopaki otrzymali niezłą dawkę adrenaliny. Piotrek parę razy pytał mnie „jak daleko jeszcze do brzegu”. Skalny klif do którego się zbliżaliśmy wydawał się być blisko, jak na wyciągnięcie dłoni. Jednak to była tylko iluzja wzrokowa. Płynąłem cały czas blisko kajaka Piotrka i Tomka eskortując ich bezpieczne przejście. Na takich falach i w takich warunkach, to jeszcze na Lenie nie pływalismy. Na szczęście dotarliśmy bezpiecznie na drugi brzeg.

Poczułem w pewnym momencie zapach dymu z ogniska. Po paru minutach zaś ujrzałem trzech siedzących ludzi wokół ognia. Podpłynąłem do brzegu. Po chwili zjawili się Tomek i Piotrek. Byli bardzo zmarznięci, całkowicie mokrzy. Kajak ich był prawie do połowy zalany wodą. Dygotali z zimna. Wyciągnęliśmy kajaki na brzeg. Chłopaki szybko przebrali się w suche ciuchy, bowiem nadal wiał zimny północny wiatr. Rozbiliśmy namiot. Chłopcy szybko poszli spać. Ja poszedłem porozmawiać z Jakutami przy ognisku. Czekali oni na statek z Jakucka do Tiksi. Planowo przy pływa on ok. 24.00 godz., jednak rzadko jest on na czas. Często ma on opóźnienie 12 godzinne, 24 godzinne, albo w ogóle nie przy pływa z różnych powodów. Statek ten pływa tylko w krótkim sezonie letnim raz na 10 dni. Wszyscy trzej oczekujący Jakuci pochodzili z wioski Kystatym. Wioska ta leży przy jakiejś rzece, która wpada z prawej strony do Leny. Jeden z Jakutów powiedział, że jedzie za chwilę do swojej wioski motorówką, żeby się dowiedzieć, kiedy przy płyne statek. Nie wie dokładnie, kiedy wróci, będzie jednak przed przy płynięciem statku. Zaproponował mi kupno chleba w swojej wiosce. Zgodziłem się. Z pozostałymi Jakutami zrobiliśmy „czaj” i popijając go dyskutowaliśmy przy ognisku. Mówili, że w wiosce ich mieszka ok. 600 ludzi. Głównym zajęciem mieszkańców jest rybołówstwo i polowanie. Rybę, mięso i skóry ze zwierząt sprzedają w Żigańsku. Zapytałem ich o niedźwiedzie. Jeden z Jakutów opowiedział mi historię, która wydarzyła się w czasie wiosny w tym roku. Czterech ludzi z jego wioski poszło na polowanie. W czasie, gdy spali w namiocie na jakiejś wyspie, napadł na nich niedźwiedź. Dwóch myśliwych zabił, dwóm udało się uciec. Jakut jednak mówił, że najgorsze są niedźwiedzie na wiosnę, teraz są one syte nie powinny więc atakować człowieka. Zapytałem Jakutów, gdzie lepiej rozbijać namiot, aby uniknąć spotkania z niedźwiedziami na brzegu Leny, czy też na jakiejś wyspie. Jakuci odpowiedzieli, że niedźwiedzie są wszędzie. Doradzili jednak rozbijać namiot w miejscach piaszkowych na brzegu i rozpalać zawsze ognisko. Niedźwiedzie mają świetny zmysł powonienia. Dym z ogniska, nie wyczuwalny dla człowieka on potrafi go wyczuć z bardzo dużej odległości. Odradzali biwakowania na wyspach, bowiem rosną tam często rośliny, które lubią niedźwiedzie. W związku z tym lepiej unikać spania na wyspach. Jakuci pytali mnie dużo na temat kajaków. Czy nie są one wywrotne, ile ważą itp. Powiedzieli, że widzą kajaki pierwszy raz w swoim życiu. Nigdy też nie widzieli, ani nie słyszeli, aby ktoś płynął Leną na jakiejś łódce wiosłowej. Mówili też, że cała ich wioska będzie teraz mówiła na nasz temat i będą pamiętać nas bardzo długo.

Płynęliśmy dziś ok. 9 godz.

## **30 VII 2003 r. (67°36'37N, 123°05'59E, 22 npm)**

Rano wiał dość silny wiatr. Obudziliśmy się późno, bowiem ok. 14.00. Jakut przywiózł nam z wioski tylko 5 bochenków chleba. Zjedliśmy je wszystkie od razu. Wypadało bowiem poczęstować siedzących przy ognisku Jakutów, którzy nie jedli już od wielu godzin czekając na statek. Statek miał przyplłynąć ok. 20.00 godz. Jego dwudziestogodzinne opóźnienie było spowodowane przez pożary tajgi w regionach Sangaru.

Parę minut przed godziną 20.00 bardzo szybko zaczęli się pojawiać na motorówkach ludzie z wioski Kystatym. Między innymi pojawiło się pięciu chłopaków, którzy zaoferowali mi kupno skóry niedźwiedzia. Wczoraj, kiedy przyplłynęliśmy z ciekawości zapytałem siedzących przy ognisku Jakutów, czy można kupić w ich wiosce skórę niedźwiedzia. Jeden z nich, który potem pojechał do wioski, aby dowiedzieć się kiedy statek przyplynie i kupić dla nas chleb powiedział mi, że on osobiście ma dwie skóry i obie może nam sprzedać za 4000 rubli (ok. 130 \$ USA). Powiedziałem mu, że to drogo. Wiadomość jednak Jakut zawiózł do swojej wioski. To było powodem przyplłynięcia tu pięciu chłopaków, którzy potrzebowali pieniędzy na piwo i wódkę. Chłopcy zaoferowali mi kupno skóry niedźwiedzia za 1000 rubli. Najpierw obejrzałem skórę i stwierdziłem, że zajmuje ona bardzo dużo miejsca i trochę śmierdzi, bo nie była jeszcze dobrze wysuszona. Pomyślałem, że w kajaku ciężko będzie znaleźć jakieś miejsce, aby wcisnąć skórę, a do tego potem mogą być duże kłopoty, by ją przewieźć do Polski. Odpowiedziałem więc chłopakom, że pomyślę jeszcze, ale raczej nie kupię. Kiedy jednak statek znalazł się już na widnokręgu podeszli do mnie chłopcy jeszcze raz. Powiedziałem im z jakiego powodu nie chcę kupować skóry. Chłopcy jednak prawie prosili, aby ją kupić. Zaoferowali cenę 500 rubli (ok. 16 \$ USA). Nie chciałem jej zbyt kupować, ale widząc ich smutek na twarzy kupiłem. Kupiliśmy jeszcze od nich skórę renifera za 80 rubli (ok. 3 \$ USA), była już trochę stara, ale dobra do spania, bowiem od ziemi ciągnie już niezły chłód. Ciekawą rzeczą jest to, że chłopcy robili całą transakcję sprzedaży z niedźwiedzią skórą po cichu. W kulturze Jakutów niedźwiedź jest zwierzęciem „świętym”. Dużo Jakutów do tej pory wierzy w wielką inteligencję tego zwierzęcia i jakąś moc „duchową”, którą posiada. Jeśli ty szanujesz i respektujesz niedźwiedzia, niedźwiedź szanuje Cię i nie zakatuje Cię. Niedźwiedzia zabija się tylko w obronie własnej i dla potrzeb leczniczych. Dlatego też niedźwiedzi na tych terenach jest dużo więcej niż ludzi. Zapytałem chłopaków gdzie i kiedy ustrzelili tego niedźwiedzia. Odpowiedzieli, że było to na wiosnę, na tym brzegu ok. 200 m. od miejsca gdzie staliśmy.

Statek zatrzymał się ok. 30 m od brzegu. W jego kierunku pojechało ok. 10 motorówek. My też wsiedliśmy do jakiejś motorówki. Wszystko odbywało się w pośpiechu. Każdy starał się załatwić swoją sprawę. Ludzie wchodzili na pokład i następnie ładowali do swoich motorówek kartony z różnymi produktami. My kupiliśmy 12 bochenków chleba. Za jeden zapłaciliśmy 30 rubli (ok. 1 \$ USA). Była to najwyższa cena za jaką dotąd kupowaliśmy chleb na wyprawie.

Ok. 23.00 wypłynęliśmy w dalszą drogę. Płynęliśmy całą noc. Nie było zbyt ciemno. Przeciskaliśmy się przez liczne wyspy, płynąc do przodu nie będąc pewni, czy nie trafimy na jakąś ogromną mieliznę. O godzinie 4.00 rozbiliśmy namiot.

Płynęliśmy ok. 5 godz.

## **31 VII 2003 r. (68°08'52N, 123°31'41E, 26 npm)**

Wyłynęliśmy ok. godz. 15.00. Pogoda była dobra. Parę razy zmoczył nas przelotny deszcz z chmur, które wędrowały z południa. Spotkaliśmy w trakcie płynięcia trzech rybaków na motorówce. Dali nam na obiad rybę - jesiotra, z której ugotowaliśmy na postoju bardzo smaczną zupę.

Piotrek i Tomek są już zmęczeni wyprawą. Piotrek już od wielu dni ciągle oblicza, kiedy dopłyniemy do Tiksi. Jednak na swój wiek spisuje się na wyprawie bardzo dobrze. Tomek świetnie gotuje i jest bardzo dobry w reperacji wszelkich uszkodzeń sprzętu. Nigdy jednak nie był tak długo poza domem.

Nurt rzeki Leny nie był w regionach, w których dziś płynęliśmy rewelacyjny. Myślałem, że od Żigańska nurt powinien stać się szybszy, bowiem Lena strasznie się zwęża. Jednak poruszaliśmy się ze średnią prędkością ok. 9 km/h – nasze wiosłowanie ok. 7 km/h i nurt rzeki ok. 2 km/h.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

## **1 VIII 2003 r. (68°31'43N, 123°55'50E, 13 npm)**

Przez pierwszą godzinę płynięcia pogoda nam sprzyjała. Potem przyszedł wiatr z północy, a z nim sztorm. Nie był on jednak na tyle potężny, abyśmy zrezygnowali z płynięcia. Ciężko było płynąć pod wiatr huśtając się na falach. Płynęliśmy cały czas bardzo blisko prawego brzegu Leny, bowiem im bliżej brzegu tym wiatr i fale były mniejsze. W krajobrazie po prawej stronie towarzyszyła nam piaskowa klifowa ściana. Pojawiła się ona ok. 40 km za Żigańskiem i ciągnęła się cały czas nieustannie aż dotąd. Na lewym zaś brzegu Leny krajobraz był płaski i porośnięty gęstymi lasami tajgi.

W ciągu dnia minęły nas dwa statki, które płynęły prawdopodobnie do Tiksi.

Północny wiatr i fale mieliśmy przez cały dzień. Najgorsze fale tworzyły się w miejscach, w których nurt rzeki przyspieszał. Północny wiatr podnosił nurt rzeki tworząc nieregularne, pionowe ściany wody. Fale te były niebezpieczne do pokonywania. Siły jednak dzisiejszego sztormu nie można porównać do tego, który mieliśmy za Żigańskiem. Jakuci mówili, że tak silnego sztormu jak tamten dawno już nie mieli. Dzisiejszy sztorm choć trudny do płynięcia pozwalał jednak płynąć do przodu.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

## **2 VIII 2003 r. (68°57'32N, 124°03'12E, 16 npm)**

Nadal był sztorm. Siła wiatru i wielkość fal była jednak zdecydowanie większa niż wczoraj. Płynąłem dziś w odległości od 50 do 100 m od brzegu. Zauważyłem bowiem, że prąd rzeki mimo wiatru i fal był tam najkorzystniejszy do poruszania się sprawnie w takich warunkach do przodu. Blisko brzegu fale i wiatr były mniejsze, ale bardzo często wytwarzał się tam nurt wsteczny. Tomek i Piotrek płynęli bliżej brzegu. Kajak ich bowiem był słabo

zakryty od góry i szybko nabierali duże ilości wody do środka. Fale dzisiejsze wcale nie przypominały rzecznych, czy też jeziornych. Były to typowe fale morskie. Największe z nich dochodziły do ok. 2,5 m. Mimo, że kajak miałem dobrze zakryty od góry woda i tak wdzierała się do środka.

Po ok. 4 godz. od wypłynięcia osiągnęliśmy wioskę Dżardżan. W wiosce tej mieszkało tylko ok. 20 ludzi. Leżała ona nad rzeką o tej samej nazwie co wioska, a więc Dżardżan. W wiosce tej poznaliśmy bardzo sympatyczną ekipę meteorologów, którzy nas bardzo gościnnie przyjęli. Było ich czterech. Dwóch z meteorologów pracowało już od wielu lat w tym zawodzie. Dżardżan nie był ich pierwszą placówką. Dwójka pozostałych była nowicjuszami i miejsce to było ich pierwszą placówką. Pytałem ich o szczegóły ich pracy. Meteorolodzy mówili, że ich praca polega na codziennym mierzeniu temperatury, ciśnienia, prędkości wiatru itp., a następnie wysyłaniu tych danych każdego dnia do bazy głównej, która znajdowała się w Jakucku. Oprócz tego trudnić się muszą rybołówstwem, polowaniem, wszelkimi remontami stacji itp. Sami też wypiekają sobie chleb i kucharzą. W Dżardżanie nie ma bowiem żadnego sklepu. Statek przywozi tu latem produkty, które muszą wystarczyć im na cały rok. To co ich trzyma przy tej pracy, to tylko w miarę dobra pensja, którą otrzymują na swoje konta w banku, jak i twardy „romantyzm Syberii”. Początkowo podpisują oni kontrakt na trzy lata. Jeśli wytrzymają mogą pracować już w tym zawodzie tak długo, jak sobie zażyczą. Jednak miejsca pracy, jak i kompanów sami sobie nie wybierają. Na terenie wschodniej Syberii jest takich meteorologicznych stacji ok. setki. Są one rozmieszczone w różnych miejscach. Wiele z nich znajduje się w dziczy, gdzie „diabeł mówi dobranoc”. Do domu na urlop jeżdżą tylko raz do roku. Byłem pełen podziwu dla tych meteorologów. Młodzi chłopcy na całkowitym odludziu i całkowicie zdani na siebie. Zapytałem ich też na temat niedźwiedzi w tym regionie. Mówili, że jest ich w okolicy bardzo dużo. Na wiosnę jeden z głodnych po śnie zimowym napadł na myśliwych w domku traperskim położonym nieopodal na brzegu Leny. Jeden z myśliwych został pożarty przez niedźwiedzia, drugi uszedł z życiem. Na pożegnanie meteorolodzy dali nam słoik kawioru i chleb. Życzyli nam szczęścia. Niesamowici są ludzie na Syberii. Gdzie w świecie można znaleźć tak gościnnych ludzi?

Ok. 22.30 godz. niebo zrobiło się czarne od ciemnych chmur. Weszły one na nasz kurs. Zaczęło grzmieć i błyskać. Spadł obfity deszcz, który zmoczył mnie doszczętnie, bowiem nie nałożyłem niczego od deszczu. Zresztą na wypadek deszczu miałem tylko kawałek folii budowlanej z wyciętą w niej dziurą. Nie nałożyłem jej jednak, bowiem służyła mi ona również do wygodnego siedzenia w kajaku. Deszcz padał koło godziny. Ciemne chmury, które były nad nami poskromiły jednak na jakiś moment silny północny wiatr. Szły bowiem z południowego-wschodu.

Namiot rozbiliśmy chyba niedaleko traperskiej chatki, w której na wiosnę grasował niedźwiedź zabójca. Rozpaliliśmy koło namiotu duże ognisko. Mam jednak nadzieję, że Opatrzność Boża czuwa nad nami.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

### **3 VIII 2003 r. (69°17'39N, 124°36'19E, 15 npm)**

Dzisiaj niedziela. Pogoda mimo wczorajszej burzy nie zmieniła się. Nadal wiał silny północny wiatr i trwał sztorm. Właściwie to trwa on już prawie od tygodnia. W środę tylko mieliśmy ciszę. Było zimno. Temperatury powietrza od Żigańska bardzo się zmniejszyły.

Rano musiałem suszyć moje ciuchy przy ognisku, bowiem były całkowicie mokre. Wykręciłem je z wody, nałożyłem na siebie i stanąłem blisko ogniska. Ciepło ciała plus ciepło ogniska dawały najszybsze rezultaty suszenia.

Bardzo ciężko było nam płynąć pod wiatr i na dużych falach. Poruszaliśmy się bardzo wolno. Zresztą tylko w kajakach można było w takich warunkach płynąć. Na innym sprzęcie wiosłowym nie byłoby mowy o jakimkolwiek poruszaniu się.

Wieczorem ok. 22.00 dostrzeżliśmy na brzegu rybaków. Do nich skierowaliśmy dzioby kajaków. Byli to Jakuci. Zaprosili nas na „czaj”. Było ich pięciu i jedna stara kobieta, która im gotowała. Swój dom traperski mieli ok. 300 m od brzegów Leny. Byli bardzo gościnni poczęstowali nas chlebem i kawiozem. Jakutka chciała nawet dać Piotrkowi skarpety, bowiem przyszedł na bosaka. Ciężko było im objaśnić, że zostawił on buty w kajaku. Rozmawialiśmy z nimi na różne tematy. Wszyscy Jakuci pochodzili z wioski Siktiach. Mówili jednak, że prawie przez cały okrągły rok mieszkają tu w tajdze nad brzegiem Leny. Zajmują się polowaniem i rybołówstwem. Te zajęcia są źródłem ich utrzymania. Wszyscy ludzie z ich wioski też się tym zajmują. Klimat jest bowiem zbyt surowy, aby coś uprawiać, czy też hodować. Jakuci mieli dwa ładne psy. Mówili, że są to specjalne psy, które od lat szczenięcych były tresowane do polowań. Znajdują one ślady zwierząt w tajdze po węchu, kiedy myśliwy jest bezradny. Jakuci polują i łapią rybę nawet wtedy, kiedy temperatura wynosi  $-55^{\circ}\text{C}$ . Jeśli chodzi o pogodę mówili, że tutaj jest już jesień i wszystkiego można się spodziewać, oprócz cichej spokojnej wody w Lenie. Deszcz, silny wiatr, mróz, a nawet śnieg. Na pocieszenie nas jeden z Jakutów dodał, że może jeszcze będzie ciepło. Mówił też, że przed nami teraz będzie najtrudniejszy odcinek do przepłynięcia w dotychczasowej naszej podróży. Jakuci wspomnieli też, że jesteśmy pierwszymi turystami wodnymi, których oni widzą. O nikim wcześniej nie słyszeli, ani nie widzieli. Wspomnieli tylko, że na tutejszą wiosnę pięciu młodych ludzi z Tiksi szło na nartach z Tiksi do Jakucka. Na pożegnanie Jakuci dali nam dwa bochenki chleba, którzy sami upiekli, słoik kawioru i mięso z dzikiego renifera. Zapraszali nas na polowania zimą. Potem zrobiliśmy wspólne zdjęcie ze skórą niedźwiedzia, którego ustrzelili niedawno. Niesamowici ludzie. Skąd u nich tyle gościnności i dobroci?

Kiedy byłem już na wodzie żegnany przez Jakutów czułem się wewnątrz naładowany dobrocią tych ludzi. Uczucie to zawsze powraca po doświadczeniu dobroci od Ludzi Syberii. Czym jest piękno przyrody wobec piękna wewnętrznego człowieka? Ci ludzie chociaż nie nazywali się chrześcijanami mieli jednak wielkie serca chrześcijańskie. Pomyślałem tak, - gdyby ktoś miał rozpoznać chrześcijan tylko po czynach a nie słowach, to pewnie stwierdziłby, że ludzie Ci są prawdziwymi chrześcijanami. Czy nasze Zachodnie Chrześcijaństwo nie jest skażone przez różne egoistyczne systemy kulturowe, które bardzo mało wspólnego mają z prawdziwym duchem chrześcijańskim? Egoistyczna pogoń za pieniądzem, własna przyjemność, brak wrażliwości i otwartości na drugiego człowieka, zamykanie się tylko na własny świat...itp. Czy w „chrześcijańskiej” Ameryce, Europie doświadczyłbym tyle dobroci i gościnności jak u tych ludzi na Syberii?

Płynęliśmy ok. 9 godz.

## 4 VIII 2003 r. (69°27'30N, 124°53'02E, 12 npm)

Rano nadal pogoda była nieciekawa, wciąż trwał sztorm. Bardzo silnie wiał chłodny wiatr, fale były duże. Pomimo takich warunków słońce świeciło na w miarę błękitnym niebie. Arktyka jest nieprzewidywalna.

Pierwsze godziny poruszaliśmy się z prędkością ok. 3 km/h. Rzeka była pokryta białymi grzywami fal. Niektóre fale w odległości ok. 200 m od brzegu po silnym szkwale osiągały wysokość ok. 3 m. Parę razy celowo wypływałem dalej od brzegu, aby przypatrzeć się z bliska tym falom. Były one bardzo ostre. Wyglądało to tak jakby ściana wody leciała na człowieka. Przez kajak przelewała się woda i próbowała wcisnąć się do jego wnętrza, niekiedy nawet z dobrym skutkiem. Płynęliśmy w takich warunkach ok. 6 godz. Na miejsce postoju wybrałem brzeg małej rzeczki, która wpadała do Leny. Miejsce to było dobre do połapania ryb i nabrania w miarę czystej wody do picia. Byliśmy głodni, jak wilki. Na początku zaczęliśmy gotować na ognisku w garnku mięso z renifera, które wczoraj dali nam Jakuci. Jednak pomimo długiego gotowania mięso to było sprężyste jak guma więc postawiliśmy też na rzece siatkę na ryby oczywiście dalej gotując mięso renifera, które już trochę zaczynało nadawać się do spożycia. Niestety Tomek dodał do garnka z mięsem za dużo soli. Trochę się „wkurzyłem” pod wpływem mego rozdrażnionego żołądka, bo wiadomo, że jak Polak głodny to zły. Poszedłem więc natychmiast wyjąć siatkę. Na szczęście był w niej szczupak. Opatroszyłem go i usmażyłem na ognisku w tempie ekspresowym.

Postanowiliśmy, że w miejscu tym będziemy nocować. Byliśmy jakoś zmęczeni trudami dnia dzisiejszego, a do tego była szansa złapania świeżej ryby na jutrzejsze śniadanko.

W nocy pogoda się polepszyła. Sztorm zaczął cichnąć.

Płynęliśmy w dniu dzisiejszym ok. 6 godz.

## 5 VIII 2003 r. (69°55'26N, 125°30'03E, 5 npm)

Rano koło naszego namiotu było słyhać odgłosy kroków dużego zwierzęcia. Pewnie jakiś niedźwiedź chciał się wprosić na śniadanie. Wystrzeliliśmy parę strzałów z naszego małego pistolecika straszaka.

Kiedy rano gotowaliśmy sobie przy ognisku śniadanie przyjechało dwóch chłopaków na motorówce, aby wyciągać swoje sieci z rybą. Jedna z ich była postawiona niedaleko od naszej z tym, że była prawie pięciokrotnie większa niż nasza. Po wybraniu ryb podpłynęli do nas. Zaprosiłem ich na „czaj”, ale pewnie, jak zobaczyli w jakich warunkach higienicznych jest on przygotowywany, to się rozmyślili. Porozmawialiśmy chwileczką. Na pożegnanie Jakuci chcieli dać nam trochę ryby, którą niedawno wyciągnęli. Były to głównie ogromne jesiotry. Odpowiedziałem, że nie ma takiej potrzeby, bowiem my też postawiliśmy sieć. Dali nam więc symbolicznie jednego jesiotra.

Wyciągnęliśmy naszą sieć. Było w niej parę ryb: szczupak, jesiotr i duży okoń. Nie był to duży połów, ale wystarczający, aby dobrze zapchać na śniadanie nasze żołądki.

Pogoda była tropikalna. Temperatury pewnie koło 30° C. Nie było żadnego wiatru. W trakcie płynięcia parę razy musiałem z powodu gorąca zanurzać się w Lenie. Przed wioską Siktiach podpłynęli do nas na motorówkach rybacy. Zapraszali nas na brzeg na „czaj”. Szkoda jednak było marnować takich bez sztormowych warunków na Lenie. Rybacy opowiadali nam o jakimś Polaku zesłańcu, który żył w ich wiosce. Nazywał się Giermacki. Został zesłany w te

regiony po II wojnie światowej. Miał on bardzo dobrą opinię wśród tutejszych ludzi. Umarł w ich wiosce Siktiach. Córka jego wyemigrowała do Polski. Rybacy mówili też, że jesteśmy pierwszymi turystami, którzy płyną kajakami po Lenie. Nikogo wcześniej przed nami nie widzieli, ani o nikim nie słyszeli.

Do wioski Siktiach nie popłynęliśmy z paru względów. Przede wszystkim była już godz. 24.00. W wiosce nie było żadnego sklepu. Dużo więc czasu zajęłoby nam znalezienie jakiejś osoby od której moglibyśmy kupić parę bochenków chleba. Poza tym od tej wioski zaczyna się na Lenie strefa przygraniczna. Baliśmy się więc spotkać kogoś z władz, kto mógłby nas skontrolować i odkryć, że nie mamy specjalnych wiz, aby tu przebywać.

Po minięciu wioski Siktiach bardzo źle się poczułem. Zaczęło mnie strasznie mdlić i zrobiło mi się bardzo zimno. Pierwszy raz w moim życiu zacząłem dygotać zębami i mieć drgawki całego ciała. Mimo, że nałożyłem wszystkie ciuchy na siebie nadal było mi zimno i drgałem. Wiedziałem, że coś ze mną nie tak. Mimo to starałem się płynąć do przodu. Prawdopodobnie miałem jakieś silne zatrucie, bowiem mdlił mnie strasznie tłusty jesiotr, którego dziś zjadłem. Zresztą od samego wypłynięcia w dniu dzisiejszym odczuwałem mdłości. W czasie płynięcia celowo, aby je zwalczyć wypłem też trochę alkoholu. Teraz jednak to miałem apogeum. Tak silnego zatrucia to ja jeszcze ni miałem w życiu. W pewnym momencie zrezygnowałem z dalszego płynięcia. Z trudem dowiosłowałem do brzegu. Chłopaki wyciągnęli mój kajak z wody i rozbili namiot.

Płynęliśmy ok. 9 godz.

## **6 VIII 2003 r. (70°26'03N, 125°46'03E, 11 npm)**

Powietrze rano było parne. Byłem strasznie osłabiony po wczorajszym zatruciu. Wszystkie mięśnie i stawy mnie bolały, brak było w organizmie energii. Wbrew swemu ciału powiedziałem chłopakom, że się zbieramy i wypływamy. Bardzo ciężko mi się płynęło. Do tego komary zaczęły ostro ciąć.

Wieczorem podpłynęli do nas rybacy. Porozmawialiśmy chwilkę. Mieszkali oni ok. 60 km od wioski Siktiach w samotnym domku na lewym brzegu Leny. Zapraszali nas do siebie na „czaj”. Odmówiłem jednak, bowiem musielibyśmy cofać się ok. 1,5 km, a nurt rzeki w tym miejscu był silny. Zapytałem ich, jak daleko muszą chodzić ze swego domu na polowania? Odpowiedzieli, że bardzo blisko, ok. 1 km. Parę dni temu zastrzelili koło swego domu dwa niedźwiedzie. Na pożegnanie rybacy dali nam trzy ryby- omule. Omule są endemitami, żyją tylko w dwóch miejscach na świecie, tu na Lenie i w jeziorze Bajkał. Różnią się one tylko rozmiarami- leńskie omule są o wiele większe niż bajkalskie.

W krajobrazie na lewym brzegu Leny pojawiły się przepiękne klify, zaś na prawym zniknęły. Namiot rozbiliśmy przy pięknych skałach. Piotrek i Tomek obrali omule i wyciągnęli ikrę. Ja położyłem się szybko spać.

Płynęliśmy ok. 8 godz.

## **7 VIII 2003 r. (70°31'17N, 127°02'10E, 0 npm)**

Pogoda była bardzo dobra do płynięcia. Wiał leciutki wiatr w plecy i nurt rzeki był dobry. Po ok. 2 godz. płynięcia ujrzeliśmy w oddali dość wysokie góry.

Lena w tych miejscach, gdzie się teraz znajdowaliśmy była relatywnie wąska. Miała ok. 4 km szerokości. Skalne klify nadal ciągnęły się na jej lewym brzegu. Rzeczą uderzającą w krajobrazie Leny były coraz rzadziej rosnące koło jej brzegów drzewa i do tego coraz mniejszych rozmiarów. Tajga powoli zanikała.

Wieczorem kiedy płynęliśmy pojawiła się przed nami na widnokręgu ciemna chmura. Pomimo, że szła prosto na nas płynęliśmy. Nagle ujrzelśmy, że ktoś do nas macha rękoma z traperskiej chaty, która stała na prawym brzegu Leny. Podpłynęliśmy do brzegu i ruszyliśmy w kierunku domu, który leżał na wzgórzu. Przywitał nas Jakut z dwójką swoich dzieci. Zaprosili nas na „czaj” i poczęstowali zupą rybną, chlebem i ikrą. Opowiedzieliśmy im trochę o naszej wyprawie. Jakut powiedział, że parę lat temu był w tych regionach także jeden Polak na pontonie oblepionym naklejkami. Wiedzieliśmy na 100%, że chodzi o Romana Koperskiego. Zaczęliśmy Jakuta pytać o szczegóły, bowiem była to pierwsza przypadkowo odkryta osoba, dzięki której mogliśmy coś więcej dowiedzieć się o tej „zagadkowej” wyprawie. Wiedzieliśmy już z własnego doświadczenia, że pontonem na wiosłach nie jest możliwe przepłynięcie Leny. Do tego świadectwa spotkanych przez nas przypadkowo na Lenie ludzi potwierdzały, że nikt nie płynął tą rzeką w pontonie. Byliśmy bardzo ciekawi co powie nam Jakut. Jakut powiedział, że Polak, jeździł tu swoją łódką w górę i w dół rzeki i robił zdjęcia w tym regionie. Zapytałem, czy Polak poruszał się swoją łodzią za pomocą wiosel? Jakut wybuchnął śmiechem. Odpowiedział, że Polak miał ogromny silnik prawdopodobnie firmy „Yamaha” przyczepiony do pontonu. Ponton jego aktualnie jest na „dacz” pewnego kapitana w Jakucku. Jakut mówił, że Polak ten znał bardzo dobrze kapitana statku, który kursuje z Jakucka w te regiony. Kapitanowi temu prawdopodobnie obiecał i oddał mu swój ponton. Aktualnie zaś ten ponton ma trafić w moje ręce- powiedział Jakut. Syn kapitana, który przejął kapitaństwo statku po swoim ojcu obiecał Jakutowi dostarczyć ten ponton. Powiedziałem Jakutowi, że tym Polakiem był Roman Koperski i że napisał on książkę o tej wyprawie. W książce zaś napisał, że przepłynął on całą Lenę w pontonie na wiosłach i do tego bez pieniędzy. Jakut wybuchnął głośnym śmiechem. Powoli więc zagadka wyprawy pontonowej Romana Koperskiego coraz bardziej się wyjaśniała.

Piotrek, Tomek i ja byliśmy „wkurzeni” na tego medialnego polskiego podróżnika, który okazał się kłamcą i oszustem. My tu walczyliśmy na Lenie o każdy metr, zmagamy się ze sztormami i tajgą, padając ze zmęczenia. W upale i chłodzie, wielokrotnie głodni, wychudzeni co najmniej po 10 kg. W brudzie, pocie i chłodzie. A ten wielki podróżnik z silnikiem „Yamaha” i papierosem w buzi okłamuje całą Polskę, że przepłynął całą Lenę w pontonie na wiosłach i bez pieniędzy. Szlak człowieka trafia. Mamy jednak nadzieję, że kłamstwo to szybko wyjdzie na jaw.

Jakut dał nam na pożegnanie puszkę kawioru z jesiotra. Powiedział, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy za pomocą siły własnych mięśni płyną Lenę.

Płynęliśmy dziś ok. 8 godz. Do Kisjura zostało nam już nie dużo kilometrów.

## **8 VIII 2003 r. (70°53'03N, 127°30'59E, 10 npm)**

Pogoda rano była paskudna. Padał deszcz. Jednak kiedy zaczęliśmy pakować się do wypłynięcia zaczęło się powoli rozpogadzać.

Mieliśmy wiatr w plecy. Po ok. 1 godz. płynięcia dostrzegliśmy w oddali Kisjur. Wioska ta była położona na prawym brzegu Leny w przepięknej scenerii majestatycznych gór rozciągających się za nią. W Kisjurze chcieliśmy kupić dużo bochenków chleba.

Po przyplłynięciu do wioski zgromadziło się wokół nas jak zwykle trochę ludzi. Wypyтали nas skąd, dokąd płyniemy, ile dni itp. Jeden z Jakutów, który miał na imię Władimir

zapropował, że zaprowadzi nas do „magazynu”- sklepu. Ja z Piotrkim poszliśmy z Władimirem. Tomek zaś został, aby pilnować kajaków. W trakcie robienia zakupów, po obejściu paru „magazynów” okazało się, że nie ma w wiosce dużo chleba. Kupiliśmy tylko 5 bochenków. Piotrek z chlebem i słodyczami wrócił do kajaków. Ja z Władimirem poszliśmy szukać jeszcze chleba jeszcze w innych „magazynach”. Panorama wioski Kisjur była dość ciekawa. Domy były zbudowane w bardzo niedalekiej odległości od siebie. Wszędzie było bardzo dużo błota i drewnianych kładek- pomostów. Bardzo dużo było też psów, które wyglądem przypominały bardziej wilki niż normalne psy. Władimir mówił, że do niedawna zabijano psy dla jedzenia i skóry. Aktualnie powstał przesąd, że osoba, która zabija psa musi szybko umrzeć. Z tego powodu nie zabija się psów. Pomimo odwiedzenia kolejnych „magazynów” chleba nie kupiłem.

W trakcie wracania do kajaków Władimir pokazał mi ich dom kultury. Weszliśmy do środka tego budynku. Dyrektorka domu kultury oprowadziła mnie po prawie wszystkich pomieszczeniach. Byłem naprawdę mile zaskoczony istnieniem teatru na takim odludziu. W bibliotece otrzymałem od pracującej tam starszej pani na prezent książkę o roślinach leczniczych Jakucji. Bibliotekarka mówiła z dumą o swoim polskim pochodzeniu. Jej pradziadowie trafili tu na zsyłkę po Powstaniu Styczniowym w 1863 r. Ona sama nazywała się Czarnecka. Opowiadała też trochę o Polaku, który trafił tu na zsyłkę w 1941 r. Był to ten sam Polak, którego wspominali nam wcześniej rybacy spotkani koło wioski Siktiach. Nazywał się Giermacki. Umarł w wiosce Siktiach. Wielokrotnie próbował on bezskutecznie przedostać się do Polski. U Jakutów człowiek ten cieszył się dużym poważaniem. Sadził on kartofle wokół swego domu. Poślubił Jakutkę. W trakcie jakiejś zarazy, kiedy umarło dużo dzieci w wiosce, jego mała córka przeżyła. Wymyślił on bowiem jakieś lekarstwo na tę chorobę. Żył na początku w Kisjurze. Po spłonięciu jednak budynku, w którym pracował posądzono go o podpalenie. Za karę został przesiedlony do wioski Siktiach. Córka jego z dziećmi wyemigrowała do Polski.

Po zwiedzeniu domu kultury Władimir pokazał mi tutejszy wioskowy „Bajkał”. Była to nieduża sadzawka przy Lenie. Na brzegu „Bajkału” rosło nieduże drzewko, pod które należało wrzucić parę kopiejek na szczęście. Władimir mówił, że bardzo dawno temu Jakuci mieszkali nad Bajkałem. Jednak z powodu najazdów Buriatów byli zmuszeni uciekać na północ. Nazwa Bajkał w języku Jakutów oznacza bogate, obfite jezioro.

W czasie wracania na brzeg do kajaków zapytałem Władimira o jego rodzinę. Odpowiedział mi, że ma 36 lat, żonę i sześcioro dzieci- trójkę chłopców i trójkę dziewczyn. By zapewnić im byt musi on bardzo dużo polować i łapać ryb. Władimir mówił, że rybę sprzedaje on po ok. 10 rubli (ok. 33 centy USA) za kilogram kupcom, którzy przyjeżdżają tu zimą samochodami aż z Jakucka. Zimą Lena jest zamarznięta i jest wtedy jedyną drogą lądową w te regiony. Najbardziej jednak dochodowym towarem tu jest wódka. Najtańsza wódka w „magazynie” kosztuje ok. 100 rubli (ok. 3,5 \$ USA). Jednak w obszarach poza wioską, w których ludzie mieszkają cena jej waha się od 200 do 400 rubli (ok. 14 \$). Władimir mówił jednak, że on sam już od sześciu lat nie pije. Bardzo dużo ludzi każdego roku umiera z przepicia. Wódka doprowadza też do kłótni, które kończą się bardzo często walką na noże.

Kiedy doszliśmy na brzeg do kajaków Władimir pokazał mi stojące blaszane małe budki na brzegu Leny przy wiosce. Budki takie widzieliśmy prawie w każdej wiosce przez, którą przepływaliśmy. Władimir mówił, że jeszcze w latach osiemdziesiątych takich budek tu nie było. Powodem ich pojawienia się były kradzieże z brzegów motorów, sieci itp. Wcześniej nie było złodziejstwa w tych regionach. Ludzie mogli wszystko bezpiecznie zostawiać na brzegu. Władimir wspominał o niedawnej kradzieży jakichś samochodów z wioski Siktiach. Zapytałem Władimira o ilość policjantów w tych regionach. Odpowiedział, że jest tylko jeden na przestrzeni 500 km<sup>2</sup>. Wcześniej przed „pierestrojką” za każdą kradzież zabierano do

więzienia za kratki. Aktualnie idzie się do więzienia tylko za grubsze przestępstwa, jak np. morderstwo. Ludzie sami we własnym gronie wymierzają sprawiedliwość.

Zapytałem Władimira i stojących na brzegu rybaków, czy może coś wiedzą na temat wyprawy pontonowej pewnego Polaka, który miał płynąć Leną w 1988 r. Nikt nic nie wiedział na ten temat.

Po pożegnaniu się ruszyliśmy dalej na Lenę. Popłynęliśmy ok. 2 km za wioskę i zjedliśmy rybę, którą Tomek dostał w Kisjurze od jakiegoś rybaka.

Wieczorem w trakcie płynięcia widoki były niesamowite. Piękne dzikie góry i wijąca się między nimi Lena. Rzeka w tych regionach była przepiękna.

Płynęliśmy dziś ok. 7 godz.

## **9 VIII 2003 r. (71°01'25N, 127°36'37E, 6 npm)**

Rano pogoda była wietrzna i rzeńska. Słońce świeciło prawie na bezchmurnym niebie. W trakcie płynięcia wylaniały się przed nami przecudne krajobrazy. Przepiękne wysokie góry schodzące aż do brzegów Leny. Jednak niedługo było nam dane rozkoszować się pięknymi widokami. Wkrótce przyszedł bardzo silny wiatr. Siła jego z każdą minutą stawała się coraz bardziej większa. Płynęliśmy z uporem bardzo blisko brzegu do przodu. W końcu doszło do tego, że do brzegu, który był oddalony od nas o ok. 30 m. musieliśmy dopływać aż ponad 10 min. Był to północny wiatr. Na brzegu trochę zjedliśmy. Mieliśmy cichą nadzieję, że być może zaraz wiatr ten osłabnie. Niestety wiatr się nie zmniejszał. W miejscu gdzie staliśmy na brzegu nie było żadnego dobrego miejsca na rozbicie namiotu. Postanowiliśmy więc pomimo silnego wiatru postarać się popłynąć jeszcze trochę do przodu, aby znaleźć jakieś dobre miejsce na biwakowanie. Odległość ok. 1 km płynęliśmy ponad godzinę bardzo silnie wiosłując. W końcu znaleźliśmy jakieś miejsce, które wydawało się być dobre.

Wyciągając rzeczy z kajaków musieliśmy bardzo uważać, aby wiatr ich nie porwał. Wiatr miał w porywach taką siłę, że worek żeglarski ok. 40 kg. turlał po ziemi jak chciał. Nawet kajaki wyciągnięte z wody daleko od brzegu były przemieszczane przez ten wiatr, pomimo, że było w nich dużo rzeczy. Położyliśmy oba kajaki na ziemi opierając je o siebie burtami. Zabezpieczaliśmy je też dużymi kamieniami. Namiot rozbiliśmy daleko na brzegu koło góry, gdzie siła wiatru wydawała się być najmniejsza. Siła tego sztormu była imponująca. Pył wodny był podrywany z rzeki na wysokość ok. 100 m. Wyglądało to tak jakby to dym unosi się z „palącej” wody. Bardzo często tworzyły się nad wodą trąby powietrza, które wściekle nad nią wirowały. W oddali dwa statki schowały się za ścianą góry skalnej, także nie ryzykując płynięcia w takich warunkach. Siła wiatru była w porywach na pewno dużo powyżej 100 km/h. Małe kamienie na brzegu były podrywane przez wiatr w powietrze. Porywy wiatru zmieniały też co chwilę swój kierunek. Było to spowodowane otaczającymi nas górami. Tak niesamowite zjawisko przyrodnicze widziałem po raz pierwszy w życiu.

Mamy nadzieję, że być może jutro ten potężny sztorm zmniejszy swą siłę, bowiem powoli kończą się nam produkty żywnościowe, a do Tiksi jeszcze daleko.

Płynęliśmy dziś ok. 4 godz.

## 10 VIII 2003 r.

Nocą dwa razy wychodziłem, aby wzmocnić tropik namiotu. Sztorm zwiększał swą siłę. Rano urwał się od namiotu jeden z jego naciągaczy. Wiatr targał namiotem bardzo silnie. Piotrek wybrał się do statku, który stał w oddali przy skalnej ścianie, także wciąż oczekując na przejście sztormu. Powiedziałem Piotrkowi aby załatwił, jak się da parę bochenków chleba. Po ok. 1,5 godz. podpłynęła do nas motorówka z trzema ludźmi. Ubrani byli ciepło i nałożone mieli na siebie kamizelki ratunkowe. Szli w kierunku naszego namiotu. Rozpoznałem wśród nich Piotrka. Zaprosiłem ich na „czaj”. Był to bosman jednego ze statków, które stały przy skale i jego pomocnik. Dali nam 6 bochenków chleba, 3 konserwy mięsne, 2 kg. cukru, 3 słodzone mleczka zagęszczane i ok. 3 kg. mięsa z renifera. Chciałem im zapłacić za te produkty. Nie chcieli oni jednak za to przyjąć żadnych pieniędzy. Mówili, że ich statek jest pasażerski i pływa na trasie Kisjur – Tiksi i z powrotem. Powiedzieli nam też o możliwości dopłynięcia do Tiksi przez Zatokę Niejełowo. Odradzali nam płynięcie do Tiksi przez Morze Laptieva. Droga ta jest dłuższa i o wiele niebezpieczniejsza z powodu częstych sztormów. Marynarze poinformowali nas również, że w Tiksi jest bardzo dużo wojska i bez specjalnych wiz będziemy na pewno szybko aresztowani. W trakcie naszej rozmowy pomocnik bosmana zauważył, że ich motorówka odpływa od brzegu. Ruszył on więc nagle, aby ją ratować. Widząc co się dzieje krzyknąłem do Tomka, aby dał mi wiosło od kajaka. Nie czekałem jednak, kiedy Tomek mi je dostarczy. Szybko wystartowałem w kierunku odpływającej motorówki. Do brzegu było ok. 250 m. Wyprzedziłem pomocnika bosmana i wbiegłem do wody. Woda na szczęście nie była jeszcze zbyt głęboka. W ostatnim momencie rzuciłem się na końcówkę linki, która była przymocowana do motorówki. Motorówka była uratowana.

Wracając do ogniska zauważyłem zwalony namiot. Byłem pewny, że coś w nim pękło. Kazałem Piotrkowi i Tomkowi wyjmować i sprawdzać rurki od masztu. Przeczucia moje szybko się sprawdziły. Jedna z rurek od masztu nie wytrzymała siły wiatru i pękła. Porwał się też drugi naciągacz od namiotu. Byłem trochę „wkurzony”. Bosman i pomocnik bosmana wypili szybko „czaj” i poszli do motorówki. Pożegnałem ich podziękowałem jeszcze raz za produkty i wróciłem do chłopaków. Szybko obmyśliliśmy możliwość jakiejś naprawy namiotu. Obkleiliśmy połamaną rurkę grubą taśmą samo-klejącą wraz z wzmacniającymi jej konstrukcje paroma śledziami od namiotu, które wcześniej wyprostowaliśmy. Następnie zabraliśmy się do znalezienia w pobliżu nas jakiegoś mniej wietrznego miejsca na rozbicie namiotu. Znaleźliśmy takie miejsce wewnątrz kotlinki przy ścianie, która zasłaniała wszystkie północne wiatry, jednak nie zasłaniała od wiatrów wiejących z kotliny, które potrafiły również od czasu do czasu potężnie huczeć. Namiotu jednak od razu nie rozbijaliśmy, bowiem baliśmy się, że jakiś silny poryw wiatru znowu może coś w nim połamać.

Wieczorem cała rzeka była pokryta pyłem wodnym unoszącym się na wysokość ok. 100 m. Był, to niesamowity widok. Woda parowała od silnego wiatru. W namiocie w czasie większych porywów wiatru wszyscy podpieraliśmy rękoma i nogami rurki od masztu, aby nic nie popękało. Wiatr przeraźliwie huczał.

Czekamy na zmianę pogody. Północna Lena począwszy od Żigańska jest naprawdę bardzo wietrzna i sztormowa.

## 11 VIII 2003 r.

Nadal trwał sztorm. Niebo całe było zachmurzone. Wiatr nadal bardzo silnie wiał. Było zimno. Prawie całą noc spaliliśmy a jednocześnie wsłuchiwalismy się w większe porywy

wiatru. Kiedy uderzał w namiot trzymaliśmy rękoma i nogami za rurki od masztu, aby nie popękały. Rano sytuacja się nie zmieniła. W ciągu dnia nie zostawialiśmy pustego namiotu. Zawsze, ktoś musiał w nim być, aby czuć. Dwa statki nadal stały zakotwiczone przy skalnej ścianie góry, która osłaniała ich od silniejszego wiatru.

Po południu zrobiłem z Piotrkim małą wycieczkę górską. Zdobyliśmy szczyt najbliższej nas położonej góry. Widoki były niesamowite. Zrobiliśmy więc trochę zdjęć fotograficznych. Na samym wierzchołku wiatr tak potężnie wiał, że nie można było ustać na nogach. Bałem się że może on zwiać, któregoś z nas w jakąś przepaść. Widoki jednak były zapierające dech.

Mamy już wszyscy dość tego sztormu i czekamy z niecierpliwością na zmianę pogody. Jak dobrze byłoby jutro wreszcie wypłynąć. Tak niedużo kilometrów do celu, a nic nie można zrobić, oprócz modlitwy o lepszą pogodę.

## **12 VIII 2003 r. (71°16'58N, 127°19'11E, 21 npm)**

W nocy porywy wiatru były bardzo silne. Wielokrotnie musieliśmy podierać rurki od masztu namiotu. Wiatr przeraźliwie huczał. Ok. 3.00 nad ranem przyszło dużo ciemnych chmur. Zaczął padać deszcz. W oddali słychać było grzmoty piorunów.

Nad ranem wiatr jakby trochę przycichł. Wiał nadal, ale jego porywy nie były już takie mocne jak wczoraj. Zdecydowałem, że czas stąd uciekać. Miejsce, gdzie się znajdowaliśmy było fatalne dla naszego uszkodzonego już zresztą namiotu, bowiem spotykały się tu dwa wiatry. Jeden wiejący z północy rzeki i drugi wiejący z kotliny. Tworzyły one niezłe mieszanki wybuchowe, łącznie z trąbami powietrznymi.

Mimo deszczowej sztormowej pogody ruszyliśmy na wodę. Płynęliśmy ok. 4 m od brzegu. Było bardzo ciężko. Moja technika wiosłowania polegała na tym, że kiedy wiatr nie szkwał wiosłowałem z całych sił do przodu bardzo szybko, kiedy zaś przychodził silny szkwał kulilem się w kajaku, jak najniżej i starałem się nie stracić zdobytych metrów. Porywy wiatru były jednak tak silne, że w ciągu sekundy potrafił zepchać kajak 10 m do tyłu. Minęliśmy wkrótce jeden ze statków, który nadal stał zakotwiczony przy skale nie ryzykując wypłynięcia. Drugi zaś wypłynął parę godzin temu. Wiatr był bardzo zimny. Ręce drętwiały strasznie od mrozu. Mimo rękawic, czapek i wielu ciuchów na sobie wciąż było zimno.

Po ok. 4,5 godz. płynięcia ujrzyliśmy po prawej stronie traperski domek. Był on zbudowany na małym wzniesieniu koło rzeki, która wrzucała swe wody do Leny. Na brzegu była motorówka, co świadczyło o tym, że są w nim ludzie. Byliśmy bardzo zmarznięci, mokrzy i w tym momencie marzyliśmy tylko o tym, aby się gdzieś na chwilę ogrzać. W domu zostaliśmy przyjęci przez dziadka i babcię. Poczęstowali nas najlepszym jedzeniem, które posiadali. Mówili, że pochodzą z Kisjura, a tu „rybaczą”- łapią ryby. W ciągu sezonu letniego łapią oni ok. 1,5 tony ryby, zaś w ciągu zimy ok. 5 ton. Rybę sprzedają a za pieniądze, które otrzymują utrzymują siebie i pomagają swoim dzieciom. Cena ryby waha się od 10 rubli (ok. 33 centy USA) do 18 rubli (ok. 65 centy USA) za kilogram. Mówili, że słyszeli przez radiostacje, że w Tiksi pada śnieg i jest sztorm. Temperatura powietrza wynosi ok. 10° C w dzień i 3° w nocy. Radiostacja ich był zasilana z akumulatora na kolbkę. Na dalszą drogę dali nam trochę jedzenia i specjalne zapalki, które służą do rozpalania ogniska nawet przy silnych wiatrach. Mieliśmy, co prawda zapalek bardzo dużo. Jednak dziadek chciał usilnie, żebyśmy je wzięli. Mówił, że sprawa rozpalenia ogniska w tych regionach często decyduje o życiu i śmierci. Dziadek i babcia odprowadzili nas na brzeg do naszych kajaków. Przyglądali się naszemu sprzętu wodnemu. Powiedzieli, że w ich regionach myśliwi, kiedyś a nawet niektórzy do dziś używają podobnych łódek do polowań. Nazywają się one w jakuckim języku „ty”. Radzili nam na nocleg zatrzymać się w ich domku traperskim przy Lenie, który

znajduje się ok. 10 km stąd. Poinformowali jednak, że bardzo trudno go znaleźć, bowiem jest on prawie niewidoczny z brzegów rzeki. Serdecznie się pożegnaliśmy z życzliwymi ludźmi, podziękowaliśmy za ich dobroć i ruszyliśmy w dalszy rejs.

Było bardzo zimno wiosłować. Chłodny wiatr nadal wiał w twarz. Mimo rękawic ręce były zdrętwiałe. Chciałem nie przegapić tego traperskiego domu. Temperatura powietrza na pewno była ok. 0° C. Do tego dochodził arktyczny wiatr. Byliśmy mokrzy. Namiot mieliśmy uszkodzony. Marzyłem więc, aby móc znaleźć ten domek.

Traperski domek udało mi się wypatrzeć. Zdradziła go pusta beczka od benzyny, która stała na brzegu. Z radością weszliśmy do środka. Rozpaliliśmy w piecu. Wyjęliśmy pobite szkło z rozbitych dwóch okienek a następnie zabilimy je folią, żeby było ciepło. Być może szkło w nich pobił jakiś niedźwiadek? W domku bardzo szybko zrobiło się przyjemnie ciepło. Szybko zasnęliśmy.

Płynęliśmy w dniu dzisiejszym ok. 6 godz.

## 13 VIII 2003 r. (71°26'50N, 127°22'25E, 22 npm)

Rano pomimo, że słońce świeciło nadal wiał silny północny wiatr. Po zjedzeniu śniadania przyjrzelśmy się trochę naszemu traperskiemu domu, w którym spędziliśmy noc. Dom ten nie był zamykany na żadną kłódkę, czy też zamek. Podobnie zresztą jak wszystkie inne traperskie domy, które wcześniej widzieliśmy. Składał się on tylko z jednej małej izby. Przy wejściu był piecyk i drzewo na rozpałkę. Dalej był stół, dwa łóżka i ogromna skrzynia. Na jednej ze ścian wisiała mała półeczka z książkami, magnetofonem i radiostacją. W domu było też dużo produktów spożywczych. Przy drzwiach wejściowych od strony zewnętrznej domu wisiało też parę ubrań zrobionych z różnych skór. Był tam sweter z przyszytymi do niego rękawicami, buty wykonane ze skóry na każdy pewnie rozmiar stopy i dwie czapki. W jednej z czapek było gniazdo szerszeni. Na zewnątrz domu można było też znaleźć drewniane sanki, młotek, siekiere, gwoździe i stertę starych zużytych rybackich gumowców. Ze sterty gumowców wybrałem jakieś dwa wyglądające na najlepsze, bowiem buty moje były już do niczego. Buty które nosiłem miały ogromne dziury na palcach i od dołu obrywały się już całkowicie podeszwy. Od wielu dni wiązałem podeszwy do butów sznurkami, ale nie było to skuteczne rozwiązanie. Wyrzuciłem więc swoje stare buty na stertę starych gumowców a nałożyłem sobie na nogi dwa stare gumowce. Gumowce co prawda były trochę dziurawe, ale czym były te maleńkie dziurki wobec dziur w moich starych butach. Poczuję się jak prawdziwy rybak, bowiem wszyscy rybacy na Lenie nosili takie buty. W ramach wdzięczności zostawiłem na stole w domu rybackim trochę pieniędzy.

Na Syberii panuje zwyczaj zostawiania traperskich domów zawsze otwartych. W domu takim każdy może przenocować. Szczególnie człowiek, który znalazł się w trudnych warunkach i potrzebuje schronienia. Dlatego ważną rzeczą jest, aby w domu wszystko było przygotowane na takiego nieoczekiwanego gościa: drzewo na opał, zapalki, garnki i jakieś artykuły spożywcze. Po przenocowaniu w takim domu wypada go posprzątać i w miarę możliwości przygotować dla innego niespodziewanego gościa.

Sztorm nadal trwał, mimo to wypłynęliśmy. Wiał bardzo zimny wiatr. Byliśmy ubrani ciepło, w czapki, rękawice i inne ciepłe ciuchy. Piotrek i Tomek mieli zimowe kurtki, ja zaś stosowałem metodę „cebulki”, czyli miałem nałożony na siebie sweter i prawie wszystkie koszulki z krótkim rękawem. Fale były bardzo wysokie. Płynąc ok. 100 m od brzegu niektóre z nich osiągały wysokość do ok. 3 m.

Po ok. 4 godzinach płynięcia dostrzegłem na brzegu stojący samotnie „wiedzachod”. Zatrzymaliśmy się go obejrzeć. Jest to samochód, wyglądający jak wóz pancerny na

gąsienicach, który służy do poruszania się w tych terenach. Można w nim jeździć po takich powierzchniach po których nawet najlepszy samochód terenowy nie miałby żadnych szans przejechania. Zresztą w regionach tych nie ma żadnych dróg, nawet polnych. „Wieżdachodem” porusza się zwykle wzdłuż małych rzek i ścieżek znanych tylko dla tutejszych mieszkańców. Pożera on ogromne litry paliwa. Jest za to jedyną i niezastąpioną maszyną zdolną do poruszania się w tych regionach niezależnie od pory roku.

Nie rozpaliliśmy ogniska w miejscu gdzie stał pusty „wiezdachod”. Dostrzeżyliśmy bowiem w oddali stojący jakiś domek. Postanowiliśmy płynąć do niego, gdyż było nam bardzo zimno. Dom był położony w odległości ok. 3 km od nas. Był on zbudowany u podnóża stoku góry. W miejscu tym widać było dużo chmur, które schodziły z gór i wchodziły na rzekę. Kiedy znajdowaliśmy się w odległości ok. 500 m od tego domu chwycił nas w swoje szpony bardzo potężny wiatr. Siła jego była naprawdę imponująca. Płynąc ok. 20 m od brzegu przez ok. 15 min nie mogłem podpłynąć do niego ani o jeden metr. Porywy tego wiatru były piekielne. Osiągały na pewno dużo powyżej 100 km/h. Kuliłem głowę i ciało jak najniżej w kajaku, żeby jak najbardziej zmniejszyć opór powietrza. Miejsce to było trochę podobne do tego w którym złapał nas parę dni temu ten piekielny sztorm. Jedne wiatry schodziły z kotlin górskich drugie wiały z północy od dołu rzeki. Wiatry te mieszając się z sobą tworzyły trąby powietrzne, które szczególnie były niebezpieczne. Kajak Tomka i Piotrka o mało co nie został przewrócony przez jedną z tych piekielnych powietrznych trąb. Ledwo zapanowali nad przewracającym się kajakiem instynktownie ratując się zgranie i w porę wiosłami. Bardzo długo podchodziliśmy do brzegu. Nie było przy nim żadnej motorówki, za to było widać dwa ogromne psy biegające koło domu. Wyciągnęliśmy kajaki na brzeg. Piotrek został przy kajakach, ja zaś z Tomkiem ruszyłem w kierunku domu. Szybko wyczuły nas psy i ruszyły na nas do ataku. Na szczęście w porę wybiegły z domu krzycząc za psami jakaś dziewczyna i starsza kobieta. W pierwszym momencie myślały, że jesteśmy marynarzami ze statku, który stał zakotwiczony za skalną górę i przeczekiwał sztorm. Wyjaśniliśmy im jednak, że nie. Zaprosiły nas do domu. Kajaki wnieśliśmy jeszcze wyżej na brzeg, bowiem sztorm zaczął się już na dobre i nie było żadnej mowy o dalszym płynięciu. Jeden z psów- owczarek niemiecki był bardzo agresywny pomimo tego, że krzyczały na niego cały czas kobiety. Wyjaśniły nam, że jest on nowy i jeszcze nie nauczył się być im posłuszny. Udało się im jednak zamknąć go w jakiejś budzie.

W domu było ciepło i przyjemnie. Szybko też dostaliśmy coś do jedzenia. Starsza kobieta przedstawiła się nam jako naczelnik bazy. Na imię miała Rajsa. Drugą osobą, która pomagała jej była jej córka Liena. Rajsa była bardzo rozmowna. Mówiła, że dom, w którym przebywamy jest „maładjozną bazą 33”- młodzieżową bazą. Przyjeżdża do niej na 24 dniowe turnusy młodzież z Tiksi i Kisjura. W trakcie pobytu tu uczą się o kulturze Ewenków i Jakutów. Do tego uczą się także polować i łapać ryby. Na stałe jednak Rajsa, jak i jej córka mieszkają w Tiksi. Rajsa powiedziała mi także, że jest przedstawicielką mniejszości narodowych Ewenków w parlamencie Jakucji. Mówiła, że bardzo lubi i często wychodziła z eweńskimi „ljeniowodami”- koczownikami, którzy pasą renifery na wiele miesięcy w tundrę. Życie z nimi daje jej spokój ducha. Zarówno ona, jak i jej córka były osobami bardzo religijnymi. Parę lat temu nawróciły się one na chrześcijaństwo (jakieś wyznanie protestanckie). Rajsa z wielkim przejęciem opowiadała o swojej wierze. Widać było, że wiara w Jezusa Chrystusa jest dla niej najważniejszą sprawą w jej życiu.

Dom w którym przebywaliśmy był położony na stoku góry. Podczas silnych porywów wiatru cały on huczał i się trząsał. Miało się wrażenie, że za moment wszystko pofrunie: dach, szyby. Huk trzęsącego się domu przypominał dźwięk pędzącego pociągu. Rajsa mówiła, że wiatry te mają taką siłę, że potrafią przewrócić nawet motorówki stojące na brzegu, czy też płynące po wodzie. Wczoraj wiatr przewrócił i poniósł dwie toalety, które stały koło domu. Dowiedzieliśmy się również, że bardzo często ten dom jest odwiedzany przez „Miszka”-

niedźwiedź. „Miszka” nauczył się podkraść od nich różne produkty spożywcze, bowiem bardzo mu one smakują.

Płynęliśmy dziś w sumie ok. 5 godz.

## **14 VIII 2003 r. (71°57'12N, 127°12'06E, 14 npm)**

Rano wiatr nadal wiał, lecz siła jego nie była tak mocna jak wczoraj. Szybko więc spakowaliśmy kajaki i szykowaliśmy się do wypłynięcia. Rajsa dała nam dużo adresów jej znajomych w Tiksi, którzy mogą nam pomóc w razie jakichkolwiek problemów. Powiedziała, też, że 18 VIII ona będzie w Tiksi. Zapraszała nas do swego domu. Serdecznie się pożegnaliśmy i ruszyliśmy na dalszy rejs.

Pogoda była wymienita do płynięcia, pomimo, że od czasu do czasu wchodziły na rzekę porywiste wiatry z gór. Wiały one z różnych kierunków. Raz w twarz, raz z boku, raz w plecy. Najważniejsze jednak, że płynęliśmy do przodu. Widoki w tej części Leny były niezmiernie piękne. Cudowne dzikie góry z przeróżnymi kształtami stoków ciągnęły się po prawej stronie Leny. Drzew już w krajobrazie nie było. Po lewej stronie rzeki rozpościerała się tundra. Od czasu do czasu widać było śnieg, który zalegał niektóre miejsca.

Po ok. 4 godz. płynięcia odwiedziliśmy domek traperski, który stał samotnie po prawej stronie rzeki. Koło domu chodził bardzo wychudły pies. W domy tym mieszkali bardzo starzy już dziadek i babcia. Poczęstowali nas „czajem” i jakąś suszoną rybą. Dziadek był trochę głuchy. Babcia zaś słabo mówiła po rosyjsku, gdyż była Ewenką. Z dziadkiem porozumiewała się ona tylko w języku eweńskim.

Język eweński jest już prawie na wymarciu. Bardzo mało Ewenków zna już swój język. Język ten nie jest ani trochę podobny do języka jakuckiego. Na terenach tych aktualnie są używane przede wszystkim dwa języki: rosyjski i jakucki. Nastąpiło już takie wymieszanie kulturowe, że trudno jest powiedzieć, kto jest czystym Ewenkiem, Jakutem, czy też Ewenką.

Późnym wieczorem przyплыliśmy też do jakiegoś innego samotnie stojącego traperskiego domku. Przebywał w nim młody rybak. Był on Rosjaninem. Wypiliśmy z nim „czaj”. Powiedział nam, że w osadzie rybackiej Tit-Ary będziemy mogli otrzymać trochę chleba na dalszą podróż. Kiedy piliśmy „czaj” rozmawiając z rybakim jego pies wywęszył i ukradł nam z kajaków trochę żarcia: kielbasę i ok. 0,5 kg cukierków. Byliśmy wściekli na niego, ale przy właścicielu nie wypadało psa ukarać za jego brak manier dobrego wychowania. Gdyby jednak nie właściciel to otrzymałby od nas jakąś dobrą lekcję wychowawczą.

Pogoda była w miarę dobra. Płynęliśmy więc całą noc. Namiot rozbiliśmy ok. 4 nad ranem na jakiejś wyspie niedaleko Tit-Ary.

Płynęliśmy ok. 11 godz.

## **15 VIII 2003 r. (72°15'55N, 126°56'22E, 1 npm)**

Od samego rana padał deszcz. Było zimno i mokro. Zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy rzeczy do kajaków i ruszyliśmy na wodę.

Po ok. 1 godz. płynięcia dostrzegliśmy po lewej naszej stronie jakieś budynki stojące na brzegu wyspy. Było to osada rybacka Tit-Ary. Kiedy zbliżaliśmy się do brzegu rybacy przeciągali akurat za pomocą traktora duży kontener z rybą. Podeszliśmy do nich. Poznaliśmy tam szefową tej bazy. Zapytaliśmy ją czy można gdzieś tu kupić trochę chleba. Szefowa bazy

powiedziała, że nie za bardzo, ale coś postara się nam załatwić. Wcześniej jednak zaprosiła nas do obejrzenia „letnika”. W czasie drogi do niego zapytałem ją, czy może pamięta Romana Koperskiego, Polaka, który był tu w 1998 r.? Odpowiedziała, że nie pamięta. Po czym dodała na swoje usprawiedliwienie, że dość sporo odwiedza ich różnych ludzi. W „letniku” szefowa wzięła się za dokładne ważenie ryby, którą wnosili co chwila, w ogromnym pojemniku, dwóch rybaków. Praca ta była ciężka, bowiem pojemnik ten ważył zwykle ok. 150 kg. „Letnik” był dwupiętrowy. Składał się z długich korytarzy połączonych z bocznymi komnatami. Wszędzie był lód. W komnatach składane były różne gatunki ryby. Dwóch rybaków z dolnego piętra pracowało ciepło ubranych przy pakowaniu ryb do worków. Temperatura tam była naprawdę niska. Po zważeniu ryb szefowa dała nam dwa bochenki chleba. Chciałem jej zapłacić. Odpowiedziała jednak filozoficznie, że na Syberii nie wszystko można kupić za pieniądze. Po czym dodała, żebyśmy zgłosili się do rybaków, którzy pracują 800 m stąd po rybę. Pożegnaliśmy się z nią serdecznie i podплыliśmy kajakami do rybaków. Dwóch rybaków pracowało przy obieraniu ryby, otoczeni latającymi nad ich głowami sępijącymi mewami, reszta zaś była w środku jakiegoś budynku. Rybacy ci mieli krótką przerwę w robocie i grali w karty. Porozmawialiśmy z nimi trochę. Zapytałem rybaków ilu ludzi mieszka w Tit-Arach?

Odpowiedzieli, że aktualnie ok. 30. Rybaków jest ok. 20, a reszta to dzieci i żony niektórych rybaków. Rybacy zaś wypyтали nas o naszą wyprawę kajakową. Mówili, że przebywało do nich już wielu ludzi, ale na kajakach, którzy wiosłują od samego aż prawie Bajkału to jeszcze nikt. Wszyscy goście przyplývają do nich statkiem lub przylatują helikopterem. Powiedzieli, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy przyplýli do nich za pomocą siły własnych rąk aż z samego Bajkału. Zapytałem rybaków, czy pamiętają Romana Koperskiego i jego wyprawę pontonową z 1998 r. Jednak nikt z nich siedzących w środku budynku nie pamiętał takiej osoby. Jeden tylko rybak, który pracował przy obieraniu ryby wspomniał coś o Romanie Koperskim. Zapytałem go, czy pamięta na czym on dostał się do nich. Odpowiedział, że nie pamięta. Rybacy dali też nam dużo informacji o odcinku Leny, który był do przepłynięcia przed nami. Mówili nam, żebyśmy koniecznie zapłynęli do stacji polarnej „Sokol” i do międzynarodowej stacji badawczej „Nordschild”. Pokazali nam na mapie, gdzie się one znajdują. Mieszkają w nich bardzo gościnni ludzie. Do Tiksi radzili dostać się przez Zatokę Niejełowo. Mówili, że nie ma potrzeby ryzykować dłuższej i niebezpiecznej drogi przez Morze Laptiewa. Wszyscy rybacy pływają do Tiksi przez Zatokę Niejełowo. Na pożegnanie dali nam cztery duże ryby, które specjalnie dla nas wybrali z dużej kupy ryb, która była w jakimś dużym pojemniku. Proponowali nam, abyśmy zostali u nich trochę dłużej. Pożegnaliśmy się z nimi serdecznie. Rybacy ruszyli do swojej pracy, my zaś na dalszy rejs.

Po ok. 1,5 godz. płynięcia zrobiliśmy postój, aby zjeść rybę. Byliśmy głodni. W trakcie kiedy siedząc przy ognisku jedliśmy z apetytem rybę podплыła do nas motorówka z dwójgim ludzi. Zapytali nas czy potrzebujemy jakiejś pomocy? Odpowiedziałem, że nie i zaprosiłem ich na „czaj”. Byli to rybacy z Tit-Ary. Wracali oni z Tiksi do Tit-Ary z pocztą i zakupami. Jeden z nich bardzo śmieszny był z pochodzenia Czeczeńcem, drugi również z wielkim poczuciem humoru z pochodzenia Kazachstańczykiem. Tworzyli zgrany duet. Wyjęli z motorówki swoje zakupy i poczęstowali nas. Wypiliśmy z nimi jedną wódkę. Opowiadali, że do Tiksi trafili przez wojsko. Służyli bowiem w tym mieście i w trakcie wojska poznali miejscowe piękności tego miasta. One to sprawiły, że szybko zmienili stan kawalerski na małżeński i mieszkają już w Tiksi od 20 lat. Czeczeniec mówił, że na Syberii każdy go zna, bowiem jest tu tylko jedynym rybakim z Czeczenii. Żartowali ze swoich kolegów rybaków z Tit-Ary mówiąc, że za mało dali nam ryby. Rybacy chwalili życie w czasach komunizmu, podobnie zresztą jak każdy człowiek, którego spotkaliśmy na Lenie. Mówili, że w czasach komunistycznych w Tit-Ary była poczta, sklep, kino. A teraz nie ma niczego. Nikt się o to nie troszczy. Po zakupy i pocztę muszą jeździć aż do Tiksi. Pożegnaliśmy się serdecznie z tymi

sympatycznymi i gościnnymi ludźmi. Mówili, że do Tiksi przyplłyną znowu za parę dni i rozpoznają nas po brodach. Każdemu z nas bowiem porosły przez czas wyprawy spore brody.

Płynęliśmy do bardzo późna w nocy. Namiot rozbiliśmy na skalistym wybrzeżu ok. 25 km od bazy polarnej „Sokol”.

Płynęliśmy ok. 7 godz.

## 16 VIII 2003 r. (72°22'59N, 127°22'05E, 0 npm)

Pogoda była pochmurna. Na szczęście nie było żadnego wiatru. W trakcie płynięcia podziwialiśmy przepiękne klify, które w niektórych miejscach były naprawdę cudowne. Spadające niemal pionowo do wody skalne wysokie ściany zapierały dech w piersi. Stwierdziliśmy jednomyślnie, że Lena na dalekiej północy jest najpiękniejsza.

Po paru godzinach minęliśmy wyspę „stołb”. Wyspa ta jest uważana za koniec rzeki Leny. Dalej jest już tylko olbrzymia jej delta. Wyspa ta jest nieduża, w kształcie owalnym i otoczona dokoła pionowymi skalnymi klifami.

Wkrótce północny brzeg Leny, przy którym cały czas płynęliśmy skręcił mocno w kierunku wschodnim. Po paru minutach wyłoniły się nam domy bazy polarnej „Sokol”. W bazie zostaliśmy bardzo gościnnie przyjęci. Pracowało i mieszkało w niej 7 osób. Naczelnik bazy, który pracował w niej od 20 lat opowiadał mi dużo o specyfice jego pracy. Mówił, że aktualnie mało ludzi chce pracować w zawodzie polarnika. Zniechęca ich totalne odludzie, jak i niskie zarobki wynoszące ok. 100\$ miesięcznie. On sam nie otrzymuje już pensji od 2 lat. Praca jest ciężka. Wieczne remonty czegoś, jak i codzienne mierzenie danych meteorologicznych i hydrologicznych. Zimą, kiedy są tu zamiecie śnieżne między domem i innymi budynkami oraz przyrządami pomiarowymi rozpościerane są liny. Bywały bowiem w tych regionach wypadki, że osoba wychodząca z domu za jakąś potrzebą nie mogła trafić z powrotem do niego z powodu „purgawicy”- zamieci śnieżnej. Wiatry są bardzo silne. Żona naczelnika mówiła, że wielokrotnie mąż jej pomagał dojść do domu z podwórka zasłaniając sobą wiatr. Naczelnik poruszył również temat nie kontrolowanego od czasów „pierestrojki” połowu ryb w rzece Lenie. Dawniej mówił były odgórnie przydzielane limity na połów. Obecnie nikt się nie troszczy o racjonalny połów ryb. Ten rabunkowy trend doprowadzić może do takiej sytuacji, że za ok. 10 lat nie będzie w Lenie wiele ryb. Zapytałem naczelnika, czy odwiedzają go czasami jacyś ludzie z zewnątrz? Odpowiedział, że zwykle bywają to tutejsi rybacy, których zaskoczył sztorm lub jakieś inne ciężkie warunki. Parę razy przyjeżdżali do bazy dziennikarze, którzy robili filmy o tych regionach. Z podróżników pamięta tylko jednego – pewnego Francuza, który nocował u nich w bazie pod namiotem. Nie chciał on bowiem spać w domu, gdyż twierdził, że odzwyczaił się już od spania pod dachem. Francuz ten chciał przebyć całą arktyczną Syberię, począwszy z okolic Murmańska aż na Czukotkę do Cieśniny Beringa. Latem poruszał się w kajaku po morzu, zimą zaś w psim zaprzęgu. Psy sprowadził do Rosji aż z Francji. Nauczył się świetnie mówić po rosyjsku. Sam polował i łapał ryby. Mięso suszył swoimi własnymi metodami. Miał z sobą telefon satelitalny. Zapytałem naczelnika o Romana Koperskiego, czy może widział lub słyszał coś o tym podróżniku, który miał płynąć pontonem Lenę w 1998? Odpowiedział, że nie.

W bazie polarnej poznaliśmy też syna naczelnika Daniela. Mówił on bardzo dobrze po polsku. Daniel przyjechał tutaj parę dni temu na odpoczynek. Na stałe mieszka zaś w Brześciu. Pracuje jako zastępca dyrektora w telewizji brzeskiej. Był zachwycony tutejszym regionem. Pokazał mi on kości mamuta, które były znalezione na nieodległych wyspach w delcie Leny. Z nutką emocji opowiadał o tym, jak zaraz po jego przyjeździe pojechali z ojcem na polowanie na dzikie gęsi. Bardzo szybko ustrzelili ich wystarczającą ilość, aby mieć

pokarm na najbliższe dni. Zapytałem Daniela, czy widział jakieś niedźwiedzie w tych regionach? Odpowiedział, że dwa dni temu zastrzelili oni niedźwiedzia brunatnego zaraz koło ich domu. Byłem bardzo zaskoczony tą informacją, ponieważ myślałem, że niedźwiedzie brunatne żyją tylko w tundrze i nie wychodzą tak daleko na północ w samą tundrę. Na pożegnanie wymieniliśmy się adresami. Naczelnik bazy, jak i Daniel mają na stałe dom w Brześciu – mieście niedaleko polskiej granicy. Co prawda naczelnik przebywa w nim bardzo rzadko. Jest tam tylko na urlopie, który ma raz na dwa lata.

Wyłynęliśmy z bazy polarnej ok. 24.00 h. Było dość zimno. Płynęliśmy dziś w sumie ok. 6 godz.

## **17 VIII 2003 r. (72°01'04N, 128°30'29E, 0 npm)**

Dzień był pochmurny i chłodny. W trakcie płynięcia wchodziły nam na kurs ciemne chmury, które przynosiły leciutkie deszcze. Widoczność była słaba. Miłą niespodzianką sprawił nam kapitan jednego z mijających nas statków. Pogratulował nam przez mikrofon przepłynięcia całej Leny w kajakach. Dodał, że do Tiksi już nie daleko. Pewnie w trakcie naszego rejsu parę razy na trasie musiał nas mijać. Podziękowaliśmy mu przez pomachanie rękoma w jego kierunku.

Następnie dostrzeżliśmy zbliżające się w naszym kierunku dwie motorówki. Na jednej z nich był główny inspektor międzynarodowej bazy naukowej „Nordshield”, zaś na drugiej naukowiec badający ptaki. Porozmawialiśmy z nimi krótko na wodzie. Zapraszali nas do odwiedzenia ich bazy, do której mówili, że jest jeszcze ok. 30 km. Sami zaś na razie muszą jechać do bazy polarnej „Sokol”. Późnym wieczorem może uda im się wrócić. Naczelnik bazy mówił, że możemy tam wziąć „banię” i odpocząć. Podziękowałem im serdecznie za zaproszenie.

Na Syberii ludzie są niesamowici. Skąd u nich tyle dobroci i otwartości na drugiego człowieka. Tu na Syberii można się uczyć od tych ludzi bycia w pełni człowiekiem. Cywilizacja zachodnia to dzicz duchowa w porównaniu z kulturą duchową ludzi na Syberii.

Po paru godzinach wiosłowania dotarliśmy do międzynarodowej stacji badawczej „Nordschild”. Stacja ta powstała parę lat temu z inicjatywy norwesko-jakuckiej. Celem jej jest prowadzenie badań naukowych przyrody arktycznej w tych regionach. Stacja ta specjalizuje się przede wszystkim w badaniach ornitologicznych. Szczególnie wielkie ilości ptactwa można spotkać w delcie Leny. Delta Leny jest największym jeśli chodzi o terytorium parkiem przyrodniczym w świecie. W stacji przywitały nas trzy młode osoby: dwóch chłopaków i jedna dziewczyna. Mówili, że aktualnie w stacji nie ma nikogo więcej. Zaprośili nas na obiad. Wszyscy oni pochodzili z Tiksi. Jeden z chłopaków pełnił tu służbę wojskową. Dwoje pozostałych miało jakieś praktyki. Proponowali nam abyśmy przenocowali w stacji, bowiem jest już późno. Podziękowaliśmy im jednak serdecznie za gościnę i popłynęliśmy dalej. Szkoda było nam marnować dobrej pogody do płynięcia. Wiedzieliśmy bowiem, że spokojna woda należy w tych regionach do rzadkości.

Płynęliśmy do ok. 2.00 w nocy po czym rozbiliśmy namiot, rozpaliliśmy ognisko i poszliśmy spać.

Wiosłowaliśmy w dniu dzisiejszym ok. 9 godz.

## **18 VIII 2003 r.**

Rano pogoda była nadal pochmurna. Było zimno. Wiał wiatr z północnego- zachodu. Wyruszyliśmy wcześniej na ostatni prawdopodobnie odcinek naszego rejsu, jeśli nie zaskoczy nas silny sztorm. Był to 70 dzień na wodzie w kajakach.

Po ok. 4 godz. wiosłowania ujrzelśmy w oddali Tiksi. Cel i zarazem metę naszego kajakowego rejsu. Było ono oddalone od nas o jakieś 15 km. Czuliśmy zarazem radość, jak i obawę przed zbliżającymi się kłopotami w Tiksi.

W trakcie płynięcia myślałem, czy nas aresztują żołnierze jeszcze na wodzie, czy też na brzegu? Wpływaliśmy jako cudzoziemcy bez zezwolenia na przebywanie w tym regionie. Do tego wpływaliśmy do Tiksi 3- militarnej części Tiksi. Nie było żadnej możliwości uniknięcia spotkania z wojskami pogranicznymi. Gdyby nawet udało się nam jakoś schować od żołnierzy, to i tak bylibyśmy aresztowani podczas prób wydostania się z tego miasta. Na lotnisku, jak i na statkach pasażerskich są kontrole przed odprawą. Roman Koperski napisał w swojej książce, że był aresztowany przez wojsko na 3 dni, sądzony, a następnie deportowany w samolocie wojskowym za darmo do Moskwy. Wersja taka byłaby dla nas optymalna, wprost wymarzona. Jednak wiedzieliśmy już z uzyskanych na Lenie informacji, że relacje tego podróżnika nie są prawdziwe i należy je traktować jak sielankowe bajki o Syberii. Aresztowanie i deportacja darmowa samolotem do Moskwy byłaby dla nas wymarzona również z tego powodu, że dowiedzieliśmy się, że ceny biletów do Moskwy mogą przekroczyć znacznie sumę pieniędzy, jaką posiadaliśmy. Powrót zaś statkiem do Jakucka, potem do Ust-Kuta i dalej pociągiem do Moskwy i do Polski może zająć prawie miesiąc. Nie uśmiechała się nam taka możliwość długiego powrotu. Tym bardziej że gnały mnie i Piotrka obowiązki. Płynąłem do Tiksi strapiony tymi myślami. Nie długo jednak pogoda pozwoliła mi na zamartwianie się.

Po ok. 15 minutach obrania kursu bezpośrednio na widniejące w oddali domy Tiksi przyszedł silny wiatr. Byliśmy daleko od brzegu w Zatoce Niejełowo. Zaczęły pojawiać się dość duże fale. Bałem się, że jeśli za moment prędkość wiatru wzrośnie jeszcze bardziej będziemy mieli spore kłopoty, aby uciec na najbliższy ląd. Kajaki były miotane przez fale, tak że cały czas bardzo silnie trzeba było pracować wiosłami, aby utrzymać właściwy kurs. Fale miały wysokość ok. 2 m. Jedyną dobrą stroną tej sytuacji było to, że wiatr mieliśmy w plecy i fale nachodziły na nas od strony rufy pchając kajak do przodu. Pamiętając o sile wiatrów wiejących w tych regionach obawiałem się, żeby nie przyszły, bowiem finał naszego rejsu może być wtedy tragiczny. Rybacy ostrzegali nas wcześniej przed tą zatoką. Mówili, że potrafi tu nieźle sztormić. Na szczęście po ok. 1,5 godz. wiosłowania osiągnęliśmy brzeg. Wypatrzyłem na nadbrzeżu duży stary statek, który stał zakotwiczony. Powiedziałem chłopakom, że za nim będziemy lądować, aby zakryć się przed falą bijącą o brzegi. Lądowanie chłopaków przebiegło bardzo dobrze, moje trochę gorzej, bowiem jakaś większa fala załaza mnie i kajak.

Na brzegu, gdzie wylądowaliśmy była jakaś budka, z której wyszedł zaspany człowiek. Wyglądał na stróża tych terenów. Był bardzo zdziwiony naszym widokiem. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy powiedzieliśmy mu, że przyплыliśmy tu aż spod samego prawie Bajkału. Zapytałem go, czy możemy tu złożyć nasze kajaki i potem rozbić namiot? Odpowiedział nam, że przepłynęliśmy do Tiksi 3- militarnej części miasta i na jakiś teren wojskowy. Kajaki złożyć możemy, ale namiotu rozbić nie. Jeśli chcemy jeśli chcemy to musimy go rozbić za ogrodzeniem. Wkrótce przyszli do nas jacyś ludzie, którzy byli znajomymi stróża. Byli bardzo zaskoczeni faktem, że przepłynęliśmy tu kajakami aż spod Bajkału w 70 dni. Powiedzieli, że jeszcze nie widzieli, ani nie słyszeli o kimś takim, kto by przepłynął całą Lenę na wiosłach o własnych siłach. Wyglądaliśmy chyba nędznie, brudni, nie ogoleni z długimi brodami, wychudzeni, jak prawdziwi podróżnicy. Szybko ludzie ci zorganizowali nam coś do jedzenia, mimo, że ich o to nie prosiliśmy. Opowiadaliśmy im o naszej podróży. Powiedzieliśmy też o tym, że nie mamy specjalnych wiz, aby tu przebywać i

że w związku z tym będziemy musieli chyba sami zgłosić się do „pograniczników”. Przyznali mi rację. Zapytałem ich delikatnie czy nie mogliby nam pomóc załatwić jakiegoś transport do jednostki wojsk pogranicznych. Dowiedziałem się bowiem, że jest ona dość daleko stąd. Stróż odpowiedział, że jutro ok. godz. 12.00 przyjedzie tu jego kolego samochodem i podrzuci nas do jednostki. Zaproponował nam również nocleg w swojej budce strażniczej. Sam bowiem jedzie do domu. Ok. północy wszyscy pojechali do swoich domów.

Do ok. 4.00 godz. nad ranem składaliśmy kajaki i ekwipunek. Bardzo ciężko było nam złożyć kajaki. Siedemdziesiąt dni na wodzie w różnych warunkach sprawiło, że wiele rdzy pojawiło się na śrubkach i łączach i dlatego też bardzo ciężko było wszystko rozkręcić.

## 19 VIII 2003 r.

O godz. 12.00 przyjechał znajomy strażaka - Siergiej. Włożyliśmy cały nasz bagaż do jego samochodu i pojechaliśmy do jednostki wojsk pogranicznych. Jednostka ta znajdowała się w Tiksi 1. „Pograniczniki” wiedzieli już o naszym nielegalnym przybywaniu w Tiksi. Wjechaliśmy do ich jednostki. Tomek i Piotrek zostali w samochodzie z Siergiejem, ja zaś poszedłem na rozmowę. Przyjął mnie jakiś młody gruby major. Przedstawił mi jak będzie wyglądała procedura w naszej sprawie. Złamaliście rosyjskie prawo pograniczne – mówił poważnie major - musicie zatem ponieść konsekwencje. Zapłacicie karę w wysokości 500 rubli (ok. 17 \$ USA) na każdego. Major zapytał jednak mnie, czy nie jest to za dużo? Czy jesteśmy w stanie zapłacić? Odpowiedziałem, że tak. Po wypełnieniu wielu papierków przez majora do gabinetu wszedł jakiś starszy oficer z wyższym stopniem. Zaczęliśmy rozmawiać na różne tematy. Oficer pochwalił się, że ma żonę Polkę. Pytał mnie na temat życia w Polsce. Zapytałem go, czy pamięta może Romana Koperskiego, który w 1998 r miał przepłynąć Lenę pontonem na wiosłach i bez pieniędzy a w Tiksi miał być aresztowany na trzy dni przez wojska pograniczne? Oficer odpowiedział, że nikogo takiego nie pamięta. Na pożegnanie dowódcy wojsk pogranicznych kazali nam w celu wypełnienia dalszych formalności zgłosić się do FSB, byłego KGB.

W urzędzie FSB zostałem wypytyany przez urzędnika służb bezpieczeństwa o nasz sprzęt fotograficzny, kamerę video i GPS. Urzędnik zadawał mi wiele pytań. Gdzie robiliśmy zdjęcia fotograficzne? Gdzie kręciliśmy filmy video? Gdzie wprowadzaliśmy dane do GPS, jak często, i ile ich mamy? Kiedy przyjechaliśmy do Rosji? Jak przebiegała nasza podróż aż do Tiksi? Urzędnik wypytyjący mnie był pod wrażeniem naszej ekspedycji kajakowej. Z zaciekawieniem słuchał moich opowieści o przygodach na Lenie. Powiedział mi, że w zeszłym tygodniu było u niego czterech Polaków, którzy przyплыли promem z Jakucka do Tiksi i chcą przejść pieszo odcinek przez tundrę z Tiksi do Kisjura. Pokazał mi odbitki danych personalnych z ich paszportów. Było to dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Byli to studenci z jakiegoś uniwersytetu w Polsce. Byłem zaskoczony faktem, że nie posiadali z sobą GPS. Tereny te bowiem, które chcieli przejść są dzikie, a kompas który posiadają może okazać się bezużyteczny, bowiem często w ziemi tutejszej są złoża żelaza. Urzędnik był trochę zaniepokojony bezmyślnością tych studentów, ich złym przygotowaniem do tego marszu.

Po załatwieniu formalności z FSB pojechaliśmy do banku, aby zapłacić tam naszą karę. W banku musiałem wypełnić wiele papierków, aby na końcu wpłacić pieniądze na jakieś konto wojsk pogranicznych w banku znajdującym się w Workucie.

Kiedy jechaliśmy samochodem przez Tiksi Piotrek dostrzegł na ulicy naszą znajomą z bazy młodzieżowej 33- Rajkę. Szybko z Tomkiem wyskoczył z samochodu, aby się z nią przywitać. Rajka wypytała nas o nasze sprawy z „pogranicznikami” i zaprosiła nas do siebie,

swego domu w bloku. Przetelefonowałem na lotnisko, aby się dowiedzieć kiedy latają samoloty do Moskwy i ile kosztują? Informacje jednak te nas załamały. Samoloty latają nawet w miarę często, ale bilet na jedną osobę kosztuje ponad 13 000 rubli (ok. 433 \$ USA), za bagaż zaś ok. 100 kg trzeba zapłacić ok. 13 000 rubli. My mieliśmy bagażu ok. 120 kg. Łącznie więc powrót lotniczy z Tiksi do Moskwy kosztowałby nas ok. 2000 \$ USA. Takiej kwoty pieniędzy nie posiadaliśmy z sobą. Słyszałem od Siergieja, że ludzie z Tiksi do Moskwy latają często samolotami wojskowymi. Bilety te są prawdopodobnie o połowę tańsze. Rajsja przetelefonowała do swoich znajomych lotników wojskowych i zapytała ich o możliwość zabrania nas w samolocie wojskowym w regiony Moskwy. Sprawa jednak ta nie była prosta. Lotnicy wojskowi aktualnie nie chcą nikogo przewozić z sobą, mają bowiem częste ścisłe kontrole na swoich lotniskach pod Moskwą. Wpadłem więc na pomysł, aby wybrać się do „pograniczników” i zwrócić się do nich z prośbą o pomoc. Przy okazji chciałem ich powiadomić o miejscu naszego przebywania w Tiksi, bowiem wcześniej mnie o to prosili. Poszliśmy więc z Rajsą i jej koleżanką Ludomiłą do jednostki wojsk pogranicznych. Byliśmy przyjęci przez młodego kapitana, który akurat miał służbę. Powiedziałem mu o naszym problemie. Dowódca zmiany odpowiedział, że spróbuje coś zrobić w tej sprawie, ale niczego nie może obiecywać. Odpowiedź zaś da dopiero za dwa dni.

Czekamy więc w mieszkaniu Rajsy na dalszy rozwój wypadków. Rajsja i jej córka jutro wylatują helikopterem do swojej bazy 33.

## **20 VIII 2003 r.**

Rajsja dała nam swoje mieszkanie na czas naszego przebywania w Tiksi. Pożegnaliśmy się serdecznie z nią i podziękowaliśmy za gościnność.

Chodziliśmy w ciągu dnia po Tiksi zwiedzając to miasto. Szczególne wrażenie zrobiło na nas muzeum w Tiksi. Było w nim dużo eksponatów, które bardzo nas zainteresowały. Między innymi dowiedzieliśmy się dużo na temat wypraw polarnych, które były robione w te regiony. Był w muzeum krzyż z grobu amerykańskiego polarnika z XIX w., który umarł z głodu na jednej z wysp delty Leny. Dowodził on wyprawą, której celem było zdobycie bieguna północnego. Niestety statek ich uwięziły i zmiążdżyły lody. Załoga wraz z kapitanem zmuszona była uciekać na ląd. Jednak w czasie wędrówki prawie wszyscy umarli z głodu, tylko paru członkom załogi udało się dotrzeć na ląd i prosić tutejszych ludzi o pomoc. W muzeum znajdował się dziennik dokumentujący ostatnie dni życia polarników. W jednej z komnat były zdjęcia z wyprawy tegorocznej paru sportowców na nartach z Tiksi do Jakucka.

Poznaliśmy też przez „przypadek” kiedy kupowaliśmy chleb w sklepie ekspedientkę, która poradziła nam, aby udać się z naszym problemem do tutejszych władz miasta. Powiedziała również, że pomoże nam dotrzeć do władz. Umówiliśmy się z nią jutro na godz. 10.00. rano.

## **21 VIII 2003 r.**

Kiedy rano przyszedliśmy do sklepu ekspedienta poinformowała nas, że sama telefonowała już do odpowiednich ludzi i sprawa nasza jest załatwiona. Powiedziała, że

musimy zgłosić się do sztabu wojskowego do płk. Kudriaszowa. Podziękowaliśmy jej serdecznie za pomoc i udaliśmy się natychmiast do sztabu.

Sztab wojskowy mieścił się w Tiksi 3. Tiksi 1, w którym przebywaliśmy było odległe od Tiksi 3 ok. 8 km. Ruszyliśmy piechotą w jego kierunku. Po drodze jednak udało się nam złapać na autostopa jakiś samochód. Płk Kudraszow przyjął nas w swoim gabinecie i powiedział, że na samolot w kierunku Moskwy musimy trochę poczekać. Powiedział też ile będą nas kosztować bilety na ten samolot. Cena nie była dla nas tragiczna. Jutro prosił aby do niego przyjść o 11.00 to powie nam więcej szczegółów. Byliśmy bardzo zadowolenie z takiego obrotu spraw.

## **22. VII 2003 r.**

O godz. 11.00 byliśmy znowu w sztabie u pułkownika. Niczego jednak konkretnego nam nie powiedział. Poprosił, abyśmy jutro o 12.00 przetelefonowali do niego, to może będzie posiadał, jakieś informacje.

Wieczorem wybraliśmy się do jednostki wojsk pogranicznych. Kapitan jednak powiedział, że niczego nie załatwił. Powiedziałem mu, że nic nie szkodzi. Płk. Kudraszow obiecał nam pomoc. Kapitan, jak i inni żołnierze, którzy znajdowali się w gabinecie zaproponowali nam kawę. Zaczęliśmy rozmawiać o różnych spraw. Objaśnili mi szczegółowo, jak na przyszłość załatwić sobie legalne przebywanie w regionach granicznych. Opowiedzieli też ciekawostkę o obronie przed niedźwiedziami. Otóż jakiś japoński naukowiec opracował najnowszą metodę odstraszenia niedźwiedzi bez broni. Polegała ona na tym, żeby pokazać niedźwiedziami, że znajduje się przed nim osobnik z wyższym wzrostem. Ponoć niedźwiedzie wycofują się, jak zobaczą kogoś, kto jest wyższego wzrostu od nich. Praktycznie metoda ta polega na tym, że jeden człowiek wchodzi na drugiego na barana i macha jakimś przedmiotem: wiosłem, czy czymś podobnym. Roześmiałem się, jak to usłyszałem. Żołnierze jednak powiedzieli, że to nie żart, ale autentyczna metoda. Pokazali mi również specjalny śpiwór wojskowy, który używają w warunkach tu panujących. Mówili, że można w nim spać nawet pod gołym niebem przy - 50° C. Śpiwór ten był wykonany z grubego brezentu i skóry barana. Jego wadą było to, że zajmował dużo miejsca i był trochę ciężki. Żołnierze wspomnieli również o Polakach, którzy wyruszyli, aby przejść tundrą z Tiksi do Kisjura. Powiedzieli o nich, że są "samobójcami". Wyruszyli bez dobrego sprzętu na taką wyprawę. Nie mają GPS, a kompas jest w tych regionach bezużyteczny. Nie mają odpowiedniej odzieży, aby poruszać się po tundrze. Nie mają broni. Nie wzięli na drogę dużo jedzenia. Żołnierze stwierdzili, że jeśli nie spotkają miejscowych ludzi to będą mieli duże problemy. Wyprawa tych młodych ludzi – mówili żołnierze – świadczy o głupocie i bezmyślności. Odradzali im drogę przez tundrę a proponowali drogę do Kisjura wzdłuż brzegów Leny. Żołnierze podsumowali całą dyskusję na ich temat stwierdzeniem, że będą oni mieli wielkie szczęście, jeśli dojdą do Kisjura.

## **23 VIII 2003 r.**

Przetelefonowaliśmy do pułkownika o godz. 12.00. Powiedział nam, że dzisiaj o godz. 19.00 wylatuje samolot do Rezanina, który jest ok. 200 km od Moskwy. Pułkownik powiedział nam, że będzie na nas czekał na lotnisku przy samolocie. Informacja ta wprawiła nas w radość.

Spakowaliśmy nasze bagaże. Ludmiła- znajoma Rajsy załatwiła nam transport na lotnisko. O godz. 18.00 wyjechaliśmy na lotnisko. Niestety czekała nas tam przykra niespodzianka. Samolot został odwołany. Przetelefonowaliśmy więc do pułkownika, aby dowiedzieć się czegoś nowego. Powiedział nam, że samolot ten wystartuje za dwa dni. Prosił, aby do niego przetelefonować za dwa dni o godz 12.00.

## **24 VIII 2003 r.**

Dzień ten przeszedł na monotonnym oczekiwaniu. Odwiedziliśmy dziś jeden ze zborów protestanckich w Tiksi. Uczestniczyliśmy w modlitwach. Ludmiła była bowiem przewodniczącą jednego z zborów w Tiksi. Dowiedzieliśmy się, że w regionach tych jest bardzo dużo gmin protestanckich. Ludzie nawet z dalekich regionów przyjeżdżają, aby wspólnie się modlić. Protestantyzm jest bardzo rozpowszechniony na tych terenach. Ludzie, którzy uczestniczyli w modlitwie sprawiali wrażenie neofitów. Wiara w Jezusa Chrystusa była dla nich najważniejsz. Oprócz protestantów mieszkają na tych terenach prawosławni i spadkobiercy szamanizmu, którzy po komunistycznej ateizacji mają problemy z dokładnym sprecyzowaniem swojej wiary. Brak jest natomiast katolików. Dowiedzieliśmy się, że Pismo Św (Nowy Testament) jest przetłumaczone już na język Jakutów i Ewenków. Ciekawą rzeczą dla mnie było zauważenie, że Jakuci, jak i Ewenkowie przejęli alfabet od Rosjan. Litery w ich językach są rosyjskie.

## **25 - 27 VIII. 2003 r.**

O godz. 12 przetelefonowaliśmy do pułkownika. Powiedział nam, że samolot wylatuje dzisiaj o 18.00. Cieszyliśmy się a jednocześnie obawialiśmy, czy samolot nie będzie znowu odwołany? Na szczęście tym razem wszystko przebiegło bez problemów. Samolot wystartował. Z okien samolotu żegnałem się z Syberią. Miałem jednak silne przeczucie, że jeszcze tu nie raz wrócę.

Po wylądowaniu w Rezaniu udało nam się kupić bilety na bezpośredni pociąg do Grodna. Do Grodna dojechaliśmy 27 VIII o godz. 5.00 nad ranem. Następnie zaś autobusem białoruskim do Polski. W Sokółce byliśmy ok. 8 nad ranem. Koniec przygody, a jednocześnie tęsknota za następną.

Koszt całej leńskiej wyprawy na jednego uczestnika wyniósł ok. 650 \$ USA.

Tomek i Piotrek sprawdzili się w wyprawie na złoty medal. Ja zaś miałem kolejną nauczkę, że nie warto się lękać „wypływać na głębię”. Życie jest przecież po to, aby żyć.

**X.Dariusz Sańko**

adres strony www o wyprawie: <http://www.anisko.net/lena2003/>

adres email do ks. Darka Sańko: [dareksanko@hotmail.com](mailto:dareksanko@hotmail.com)